



Kathie DeNosky

Rywal czy kochanek?

Tytuł oryginału
Sleeping With the Enemy



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Jeszcze mi tego dzisiaj brakowało - mruknęła pod nosem Elise Campbell, gdy po raz drugi nie trafiła kluczem w dziurkę.

Dwugodzinne czekanie na podpis sędziego na nakazie było nie do zniesienia. Wysłuchiwanie przez całe popołudnie, jak John Valente, nowy szef mafijnej rodziny Mercado, zwraca się do niej „laluniu”, wywołało ogromną tęsknotę za prysznicem. A teraz stos trzymany skoroszytów nie pozwalał jej trafić kluczem do zamka w drzwiach pokoju w hotelu Mission Creek Inn. Na szczęście, gdy już znajdzie się w środku, będzie mogła się odprężyć.

Żonglując torebką, stosem dokumentów księgowych zabranych z biura Valentego i małą pizzą, zrobiła kolejne podejście do zamka. W tym sierpniowym upale mogła już myśleć tylko o klimatyzowanym pokoju.

Wreszcie zdołała otworzyć zamek i dostała się do pokoju. Kopniakiem zamknęła drzwi i pośpiesznie rzuciła cały bagaż na biurko. Stała pod klimatyzatorem. Chłodny podmuch na rozpalonej skórze był wręcz boski. Zdecydowała, że po takim dniu zasługuje na odprężającą kąpiel, a potem kieliszek wina do pizzy, z nim zabierze się do papierów.

Sprawdziła drzwi łączące jej pokój z sąsiednim i westchnęła ciężko. Zamek był zepsuty. Czyżby nie koniec kłopotów na dzisiaj?

Kiedy się rano meldowała, dano jej do wyboru oba pokoje, wiedziała więc, że drugi jest pusty. Ale pewnie do czasu. Postawiła pod klamką krzesło. Gdyby ktoś próbował wejść bez zaproszenia, przynajmniej trochę go spowolni.

Dwadzieścia minut później siedziała po turecku pośrodku wielkiego łóżka, pogryzając pizzę i oglądając dziennik. Prezenter pogody obiecał, że druga połowa sierpnia w południowym Teksasie będzie taka sama jak i pierwsza - upalna. Spojrzała na szorty i koszulkę, które nałożyła po kąpieli. Szkoda, że nie mogła w nich chodzić do pracy.

Elise sięgnęła po kieliszek z winem. Zamarła jednak, zanim podniosła go do ust - ktoś wszedł do sąsiedniego pokoju. Słyszała pojedyncze, ciężkie kroki. Niewątpliwie był to mężczyzna. Rozległ się tępy stuk, a potem soczyste przekleństwo. Albo upuścił ciężki bagaż, albo zwłoki. Słowa, których używał nieznajomy, świadczyły tylko o dużym niezadowoleniu.

Sięgnęła po swój pistolet, wyjęła go z kabury i odbezpieczyła. Niedobrze, że zamek w drzwiach łączących oba pokoje jest zepsuty, ale w tej chwili nic się nie da z tym zrobić. Rzuciła okiem na krzesło pod klamką. Jeżeli facet z sąsiedniego pokoju naprawdę zechce wejść, to i działający zamek mu w tym nie przeszkodzi, nie mówiąc już o krześle.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi po jego stronie,

chwyciła pistolet, wyciągnęła ramię, a drugą ręką podtrzymała kolbę. Nie zaskoczyło jej, gdy drzwi otworzyły się na oścież, a pchnięte krzesło rozbiło się o kant biurka.

Bardzo wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna z krótkimi, ciemnobrązowymi włosami i przenikliwym spojrzeniem stanął jak wryty.

- Czemu się mieszasz do mojego śledztwa, Campbell? - warknął, nie zwracając najmniejszej uwagi na pistolet wycelowany w środek jego czarnej koszulki.

- A czemu ty wpadasz do mojego pokoju bez pukania, Yardley? - spytała spokojnie Elise, opuszczając broń. Zabezpieczyła pistolet i schowała do kabury. - Zupełnie w stylu ATF*, prawda? Wpadać do środka, nie myśląc o konsekwencjach.

- A wysyłanie kobiety na robotę dla faceta jest całym w stylu FBI - odgryzł się.

Elise zazgrzytała zębami na te słowa, ale nie dała mu satysfakcji i nie okazała gniewu. Uśmiechnęła się za to słodko.

- Widzę, że nic się nie zmieniłeś. Ciągłe nazywają cię Jaskiniowcem.

Wzruszył ramionami i sięgnął po kawałek pizzy.

- Pewnie rzeczy się nie zmieniają. Nadal masz cięty język. - Z błyskiem w orzechowych oczach rzucił jej

ATF - Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives, agencja federalna zajmująca się przestępstwami związanymi z alkoholem, papierosami, bronią, materiałami wybuchowymi i podpaleniami - przyp. tłum.)

uśmiech. - A jeśli chcesz znać moje zdanie na temat agentek w terenie...

- Znam je, Yardley - przerwała mu Elise, prostując nogi. - I nic mnie ono nie obchodzi. Wystarczy, że kierownictwo ma do mnie zaufanie.

Widziała, że go irytuje. I bardzo dobrze! Sama była zła.

- Kiedy się robi gorąco, facet nie ma czasu zajmować się osłanianiem kobiety - oznajmił bez skruchy.

- Komuś może się coś stać.

- Odczep się, Yardley. Agentki są równie dobre jak agenci.

Cole pokręcił głową, żując pizzę. Kobiety! To, że przeszła szkolenie, dostała broń i taki sam tytuł, jak jej koledzy, nie znaczyło, że może prowadzić ważne śledztwa. A badanie związków rodziny Mercado z przemytnikami szmuglujący mi broń do małego południowo-amerykańskiego państwa Mezcaya było właśnie takim śledztwem.

Zajęty rozmyślaniami o kobietach wykonujących prace, do których się absolutnie nie nadają, nie był gotów na to, że ta Campbell wstanie i podejdzie do niego. Widok jej długich, smukłych nóg sprawił, że w ustach mu zaschło. Co też jej szefom strzeliło do głowy, żeby wysłać taką delikatną, atrakcyjną agentkę do tak ważnej sprawy?

Jak ona miała na imię? Eloise? Eleanor? Eliza?

Zresztą nieważne, agentka specjalna Campbell nie tylko była najbardziej drażliwą kobietą, jaką znał, ale miała też najlepsze nogi, jakie widział od wieków. Mężczyźni śnią się takie nogi, owinięte wokół niego, gdy on...

Cole zacisnął zęby i powstrzymał przekleństwo. Ale gdy przeszła obok klimatyzatora, by wziąć kolejny kawałek pizzy, podmuch zimnego powietrza sprawił, że jej sutki stwardniały pod różową koszulką.

Nie miała na sobie stanika. Poczul ciepło poniżej pasa, co mu uświadomiło, że nie jest nieczuły.

Wepchnął do ust resztę pizzy, by nie zakląć na głos i postanowił, że jak skończy tę sprawę, weźmie urlop. Dobrze mu zrobi parę dni z zimnym piwem i gorącą kobietą. Widocznie za długo obywatel się bez damskiego towarzystwa, skoro podnieca go widok Campbell.

Nie była po prostu ładna, pomyślał z niechęcią, obserwując jej twarz. Z tymi krótkimi, kasztanowymi włosami, wielkimi szmaragdowymi oczami i brzoskwiniową cerą była piękną kobietą. Dlaczego tego nie zauważył, gdy dwa lata temu pracowali nad równoległymi sprawami? Wtedy wyglądała tak samo. Wprawdzie była zima i Campbell chodziła w garniturach ze spodniami, a nie w szortach i koszulce, której powinno się prawnie zakazać.

Jego dżinsy nagle wydały się nieco za ciasne. Cole zacisnął zęby i przypomniał sobie, kim była Campbell. Kobieta, która nie tylko wtrącała się w jego śledztwo przeciw rodzinie Mercado i ich prawdopodobnemu przemytowi broni, ale też doprowadzała go do szału, ile razy znaleźli się w jednym pokoju.

- Co, zamierzasz? - zapytała, patrząc wyczekująco.

Tak pochłoneła go analiza faktu, że nagle zaczęła mu się wydawać atrakcyjna, że nie miał pojęcia, o czym mówiła.

- O co pytałaś?

Wskazała na kawałki drewna u jego stóp.

- Czy zamierzasz dopilnować, żeby ATF zwróciło hotelowi za to krzesło? Skoro ty je zniszczyłeś, FBI za to nie odpowiada.

- Tak, jasne. - Pochylił się po rozbite krzesło w tej samej chwili co ona. Zderzyli się głowami, a Campbell poleciała do tyłu. Cole musiał szybko zareagować, by nie upadła.

- Nic ci nie jest?

- Jeśli wcześniej miałam wątpliwości, to teraz mam dowód - oznajmiła, pocierając skroń.

- O czym ty mówisz? — I jak facet ma zrozumieć kobietę, kiedy ona mówi zagadkami?

- Zawsze podejrzewałam, że masz twardą głowę.

- Szybko się od niego odsunęła. - Teraz mam pewność.

Cole może i by się roześmiał na tę ciętą odpowiedź, gdyby mógł odetchnąć. Dotyk jej cieplej, gładkiej skóry okazał się jak porażenie prądem, a brzoskwiniowy zapach świeżo umytych włosów oszołomił go.

Przełknął z trudem i potarł głowę. Musieli się zderzyć mocniej, niż mu się zdawało. Może to nawet lekki wstrząs mózgu. Nie mógł znaleźć innego wytłumaczenia na taką reakcję.

Pozbierał resztki krzesła i ruszył do drzwi.

- Zaraz wrócę, tylko wyrzucę to do śmieci. Potem pogadamy o twoim śledztwie.

Uniosła idealnie zaokrągloną brew.

- Naprawdę?

Cole uśmiechnął się i otworzył drzwi na korytarz.

- Tak. Musimy zakreślić jakieś granice, żebyś mi nie przeszkadzała w śledztwie.

- Ja tobie? - Oparła ręce na kształtnych biodrach i tupnęła bosą nogą. - A ty mnie?

Wzruszył ramionami.

- O to się nie martw. Zanim zaczniesz, będę miał Ricky'ego Mercado i resztę jego rodziny pod kluczem za przemyt broni.

Kiedy zamknął drzwi, wybuchnął głośnym śmiechem, słysząc dobiegające zza nich niestosowne dla damy słowa.

Elise siedziała oparta o wezłowie łóżka, rozmyślając o swej reakcji, kiedy Cole Jaskiniowiec ją złapał, żeby nie upadła. Duże dłonie na jej nagich ramionach ożywiły każdy nerw w jej ciele. Dziwne. Nigdy dotąd tak na niego nie reagowała. Wręcz przeciwnie. Dwa lata wcześniej prowadzili równoległe śledztwa w podobnej sprawie. Pod koniec każdego dnia była tak wściekła i sfrustrowana jego poglądami, że co wieczór zjadała pudełko lodów karmelowych z kawałkami czekolady.

Cole Jaskiniowiec dowodził, że, jego zdaniem, kobiety pod żadnym pozorem nie powinny robić nic oprócz siedzenia w domu, by tam gotować, sprzątać i rodzić dzieci. Kropka.

Elise nie miała nic przeciwko temu, jeżeli jakaś kobieta miała na to ochotę. Nie lubiła jednak, gdy mężczyzna mówił jej, co powinna robić. Miała własny rozum i sama umiała decydować o własnym życiu.

Westchnęła. Przebywanie w pobliżu Cole'a Jaski-

niewca było denerwujące, ale po tamtej sprawie dostała pochwałę i zyskała sobie reputację najlepszej specjalistki w FBI od wynajdywania w dokumentach starannie zacieranych śladów. Niestety, podczas śledztwa przytęła także pięć kilo.

Zmarszczyła czoło, gdy Jaskiniowiec znowu pojawił się w drzwiach łączących ich pokoje. Był nieznośny i arogancki.

- Nigdy nie pukasz? - jęknęła z rezygnacją. - Nie musisz odpowiadać. Jasne, że agenci ATF nie pukają.

- Jakby FBI bawiło się w pukanie w czasie nalotu - odparował, padając na fotel.

- To nie ma sensu - westchnęła.

- Przynajmniej w tym się zgadzamy - pokiwał głową. Oparł łokcie na kolanach i splótł dłonie. - Moim zdaniem możemy to rozegrać na dwa sposoby.

- Jakie mianowicie? - Jeśli myślał, że przejmie jej śledztwo, to nic z tego.

- Ty mi powiesz, nad czym pracujesz, a ja ci powiem, czy to przeszkadza w mojej sprawie. - Kiedy usiłowała mu wytłumaczyć, że nie ma takiego zamiaru, uniósł dłoń ostrzegawczo. - Albo ja ci mogę powiedzieć, czego masz się nie dotykać.

Elise pokręciła głową.

- Mowy nie ma, Yardley. Nie będziesz mi mówił, co mam robić. Ale skoro i tak się dowiesz, równie dobrze mogę ci powiedzieć. Dzisiaj skonfiskowałam papiery księgowości z firmy transportowej i ogrodniczej Mercadów.

- Czyli szukasz kasy?

- Od czegoś trzeba zacząć.
- Wiesz, że dali ci wyczyszczone księgi? - spytał.
- Prawdziwe mają upchnięte gdzieś w sejfie.

- Oczywiście. Nie jestem dzieckiem. - Obserwowała jego twarz. Sam fakt, że zastanawiała się nad jego urodą, był irytujący i niepokojący. - Jutro dostanę nakaz konfiskaty danych księgowych Ricky'ego Mercado, jego świętej pamięci wuja Carmine Mercado oraz również zmarłego Franka Del Brio. Jeśli są jakiegokolwiek rozbieżności, znajdę je.

- A potem co zrobisz? —spytał, podejrzanie spokojny. Był dobry w wyciąganiu informacji. Musiała mu to przyznać.

- Yardley, może po prostu od razu spytasz, jak zamierzam prowadzić śledztwo?

Wyszczerzył zęby.

- No dobra. Jak zamierzasz rozłożyć Mercadów?

- Jak na razie ani FBI, ani ATF nie zdołały udowodnić związku między bronią opuszczającą Teksas, a bronią szmuglowaną do Mezcayi - wzruszyła ramionami. - Zamierzam znaleźć w dokumentach dowód, że to Mercado-
wie sprzedają broń i, o ile przeczucie mnie nie myli, do transportu używają własnej firmy przewozowej.

- Powodzenia. - Rozparł się w fotelu.

Uśmiechnęła się.

- Twoja kolej.

- Moja kolej?

- Tak, twoja kolej. - Zmrużyła oczy. - Miałeś mi powiedzieć, jak zamierzasz udowodnić Mercadom handel bronią.

- Wybacz, Campbell - odparł, wstając. - Nie ujawniam swoich zamiarów. I nie pracuję z kobietami.

- Czyli tak to ma wyglądać, co? - Elise wstała z łóżka i stanęła przed nim. Niestety była o kilkanaście centymetrów niższa i musiała odchylić głowę, by mu spojrzeć w oczy. - Zatrzymujemy informacje dla siebie?

- Otóż to, skarbie. - Jego pewny siebie uśmiešek sprawiał, że miała ochotę walnąć go w nos. - Na tym etapie sprawy pracuję sam.

- W porządku, jaskiniowcu - uśmiechnęła się. - Nie wyciągniesz już ze mnie ani słówka na temat śledztwa.

- Podeszła do drzwi między pokojami. - A przy okazji, nazywam się Elise Campbell, nie skarb. Nazwij mnie tak jeszcze raz, a strzełę bez zastanawiania się, Medy po raz kolejny wpakujesz się do mojego pokoju.

Wzruszył lekceważąco ramionami, ruszając do wyjścia. Odwrócił się i położył dłoń na jej policzku.

- Nie będę do ciebie mówić skarbie, jeśli ty przestaniesz nazywać mnie jaskiniowcem.

Ciepło jego dłoni rozeszło się na jej szyję, piersi i niżej. Odetchnęła głęboko.

- Chciałam ci podziękować, jaskiniowcu.

- Za co, skarbie?

- Myślałam, że ten dzień nie może już być gorszy.

- Starą się uśmiechnąć lodowato. - Ale przez ostatnie półtorej godziny udowodniłeś, że się myliłam i że może być dużo gorszy.

Roześmiał się i mrugnął do niej beczelnie, zanim opuścił rękę i poszedł do siebie.

Wściekła Elise zatrzasnęła drzwi i z trudem powstrzymała się przed tupaniem.

Cole włączył telewizor. Campbell ma na imię Elise. Musiał to słyszeć, kiedy pracowali wtedy razem w El Paso. Dlaczego nie pamiętał?

Usiadł na łóżku, ściągnął buty i zapatrzył się w przestrzeń.

Elise. Miękkie, słodkie imię, idealnie do niej pasujące. Jej skóra jest gładka jak jedwab, a kiedy dotknął policzka, miał ochotę przycisnąć wargi do jej ust, żeby się przekonać, czy są tak słodkie, na jakie wyglądają.

Zaklął i pokręcił głową. Chyba mu odbiło. To była Campbell, dziewczyna z FBI. Złośliwa jędza.

Ale to nie tłumaczyło jego reakcji. Nie miał w zwyczaju tak się droczyć z kobietami. Wręcz przeciwnie. Miał dla nich jak największy szacunek. Były delikatne, łagodne, zasługiwały na troskę i opiekę. Dobrze, że jego stary nie dożył tej chwili. Sierżant artylerii Albert Yardley dałby mu wycisk za takie zachowanie wobec kobiety.

Cole uśmiechnął się, myśląc o ojcu. Gunny był kłębkim sprzeczności, jeśli chodziło o poglądy na temat płci pięknej.

Odkąd Cole pamiętał, stary wykładał mu na temat miejsca kobiety w świecie. „Niech siedzą w domu i rodzą dzieci, chłopcze, to nie będzie trzeba się o nie martwić, jak się zrobi gorąco.” Ale jednocześnie ojciec uważał, że mężczyzna powinien stawiać kobietę na piedestale i poświęcać jej całkowitą uwagę oraz darzyć ją

szacunkiem. Cole podejrzewał, że gdyby jego matka nie umarła, gdy miał cztery lata, miałby mnóstwo braci i sióstr.

Ale nie miał rodzeństwa. Wychował go zawodowy sierżant, a on nauczył się nie przywiązywać specjalnie do ludzi ani miejsc. Nagle ogarnęło go poczucie dojmującej samotności.

Otrząsnął się i wstał, by ściągnąć ubranie.

- Strasznie jesteś pokrecony, Yardley.

Długo po prysznicu i położeniu się, wpatrywał się w sufit i myślał o rozmowie z rudowłosą rywalką. Była jedyną kobietą, z którą tak chętnie się sprzeczał. Uważał Campbell za jedną z najinteligentniejszych kobiet, jakie znał, a widok złości rozpalającej jej szmaragdowe oczy był zbyt kuszący, by mógł mu się oprzeć.

Jej siła ducha i ambicja byłyby godne podziwu u agenta. Ale nie u agentki, Te same cechy sprawiały, że łatwo wybuchała.

Campbell nie będzie unikać kłopotów. Zagłębi się w niebezpiecznym śledztwie i nie popuści, dopóki nie sprawdzi wszystkich możliwości.

Rozpoznawał to na pierwszy rzut oka, bo pracował dokładnie tą samą metodą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy na drugi dzień Cole wysiadał z wynajętego samochodu, Ricky Mercado wyszedł na ganek i oparł się nonszalancko o kolumnę. Ale Cole'a nie oszukał. Wiedział, że jest ostatnią osobą, jaką Mercado miał ochotę oglądać.

- Wróciłeś, Yardley?

- Tak. - Cole wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Miał przeczucie, że w innych okolicznościach mogliby się zaprzyjaźnić. Ale jego praca i pochodzenie Ricky'ego czyniły to niemożliwym. - Chciałem tylko dać znać, że ciągle tu jestem.

Mercado parsknął śmiechem, ale błysk irytacji w jego ciemnych oczach ujawnił prawdziwe uczucia co do wizyty Cole'a.

- Jakże mógłbym zapomnieć.

- Jak ci się podoba nowy dom?

- Może być. Stary szop mieszka pod gankiem z tyłu i nie jest mną zachwycony, ale nie zamierzam się wyprowadzać. - Mercado wyprostował się. - Może przejdziesz do rzeczy, Yardley?

Cole skinął głową. Mieli cechę wspólną - nie owijali w bawełnę.

- W porządku. Ostatnio często bywałeś w klubie golfowym.

- Sporo zapłaciłem za członkostwo. Mam zamiar je wykorzystać.

- Wiesz, że w jednej z szop znaleziono broń? - spytał Cole, bacznie go obserwując.

Mercado nic po sobie nie pokazał.

- Musiałbym być ślepy i głuchy, żeby o tym nie słyszeć. W Mission Creek każda nowina rozchodzi się z szybkością błyskawicy.

- Przychodzi ci do głowy, kto mógł ją tam schować?

- Nie.

- Powiedziałbyś mi, gdybyś miał jakiś pomysł?

- Jasne.

Cole nie wierzył mu za grosz.

- Czy Valente jest w to zamieszany?

Na policzku Mercado zadrżał mięsień i Cole miał pewność, że dotknął czułego miejsca.

- Sam musisz drania zapytać. Nie mam pojęcia, co się tam dzieje i nic mnie to nie obchodzi. Już ci mówiłem, że zerwałem z nimi - dodał Mercado z zaciętą miną. - Nie mam związków z rodziną i nie wiem, co oni robią.

- W kółko mi to powtarzasz.

- No to rusz głową i zacznij węszyć gdzieś, gdzie można coś znaleźć.

Cole'a nie dziwiło, że Mercado nie chciał mówić o swoich związkach z przestępczą rodziną. Już to prze-rabiali.

- Jeśli cokolwiek usłyszysz...

- Tak. Wiem. Będziesz wdzięczny, jeśli dam ci znać.
- Mercado odwrócił się i wmaszerował do domu, który remontował, zatrzasnął za sobą drzwi.

Cole zerknął na zegarek, wszedł do samochodu i ruszył w stronę Mission Creek. Miał jakieś pół godziny na dotarcie do klubu golfowego na spotkanie z Phillipem Westinem.

Westin był dowódcą Ricky'ego Mercada i wiedział o nim tyle, co pozostali żołnierze, którzy służyli z nim w oddziale piechoty morskiej. Paru z nich mieszkało w okolicach Mission Creek, paru nawet z nim dorastało. Jednak większość wątpiła, że Mercado zerwał wszelkie związki z rodziną. Niektórzy twierdzili wprost, że jego upieranie się, że teraz żyje zgodnie z prawem, ma tylko odwrócić uwagę od jakichś nielegalnych działań. Tylko jego szwagier - Lukę Callaghan oraz Phillip Westin twierdzili, że wierzą w jego odmianę, że Ricky próbuje się pozbierać i żyć zgodnie z prawem.

Jednak pewne szczegóły w historii życia Ricky'ego Mercada nie podobały się Cole'owi.

Mercado był członkiem ekipy ratunkowej wysłanej po Westina do Mezycyi. Skorumpowanemu państewku, nękanemu od lat walkami wewnętrznymi, groziło kompletne przejście przez grupę terrorystyczną El Jefe. Jednak po misji ratunkowej dla Westina z udziałem Mercada ilości broni automatycznej i nowoczesnego sprzętu wykorzystywanych przez El Jefe dramatycznie wzrosły. W ATF podnieśli alarm.

Kiedy w jednym z budynków gospodarczych na terenie klubu golfowego odkryto skład karabinów M16,

granatów i ręcznych wyrzutni rakietowych, wszystkim wydało się jasne, że rodzina Mercado jest w to w jakiś sposób zamieszana. Kilku ważnych członków rodziny, w tym Ricky, wykupiło członkostwo w ekskluzywnym klubie, umożliwiające im nieograniczony dostęp do terenów klubowych.

Przypadek? Chyba nie.

Cole zaparkował obok głównego budynku. Zaśmiał się pod nosem, parkując między mercedesem i porsche. Otworzył drzwiczki i o mało co nie uderzył nimi Campbell w twarz. Skąd ona się tu wzięła? Nie stała tu, gdy parkował.

Zamknął drzwi i odwrócił się do niej. W eleganckiej czarnej spódniczce i żakiecie oraz białej bluzce wyglądała bardzo konserwatywnie, profesjonalnie i sztywno. Musiał przyznać, że bardziej mu się podobała w szortach i koszulce.

Zmarszczyła czoło.

- Mogłam się ciebie spodziewać.
- Dzień dobry nawzajem, Campbell - odparł wesoło.

Chciała go obejść, ale nie mieściła się między samochodami.

- Przepuścisz mnie, Yardley?
- Oczywiście. - Wyszczrzył zęby i przylgnął do swojej półciężarówki.

Musiała odwrócić się bokiem, żeby się precyzyjnie.

- Nie mogłeś po prostu wyjść?
- Pierwszy? Dżentelmen tak nie robi - odparł, gdy przeciskała się obok niego. Otarła się przodem o jego

ciało, powodując wręcz wstrząs elektryczny. Ona gwałtownie wciągnęła powietrze i zamarła, co sugerowało, że też to poczuła.

- Od kiedy się martwisz o maniery? - spytała, wychodząc spomiędzy samochodów. Ku jego satysfakcji, wydawała się lekko zadyszana.

- Zawsze jestem dżentelmenem.

- Tak, jasne. - Ruszyła w stronę klubu.

- Hej, gdzie się pali? - spytał, gdy musiał podbiec, by za nią nadążyć. - Wpadłeś na jakiś ślad?

- Jakbym ci powiedziała... - Roześmiała się, idąc szybko przez parking. - To twój pomysł, żeby nasze śledztwa były oddzielne...

- Tak, ale...

Zatrzymała się, patrząc na niego z gniewem.

- Żadnych ale, Yardley. Powiedziałaś, cytuję, że „na tym etapie sprawy pracuję sam”. Prawda?

- Prawda, ale zawsze mogę posłuchać, jeśli masz się czym podzielić.

W jej zielonych oczach pojawiły się iskiereki gniewu i oburzenia. Cole był nią równie zafascynowany jak wczoraj. Uznał, że nigdy nie była ładniejsza niż teraz.

- Jesteś najbardziej aroganckim, wkurzającym facetem, jakiego znam - oznajmiła.

- Pewnie jestem. - Wzruszył ramionami z uśmiechem. - Ale zabójczo wyglądam w czarnej koszulce ATF.

- A co to ma do rzeczy... - Pokręciła głową. - Nieważne. Naprawdę mnie nie obchodzi twoja jaskiniowa logika.

- Znowu nazywasz mnie jaskiniowcem, skarbie.

- Nie mów tak do mnie.
- Nie nazywaj mnie jaskiniowcem.
- Nie mówię. Powiedziałam, że twoja logika jest jaskiniowa. - Uśmiechnęła się nagle.

Widok jej uśmiechu oszołomił go całkiem.

- Wiesz, Campbell, tyle gadasz o jaskiniowcach, jakbyś chciała, żebym cię przerzucił przez ramię i zawlókł do jaskini.

Roześmiał się głośno, kiedy prychnęła gniewnie, odwróciła się i wmaszerowała do budynku.

Elise padła na krzesło z kutego żelaza wysłane miękką poduszką, stojące przy stoliku z biało-żółtym parasolem. Podziwiając rozległe trawniki, oddychała głęboko, by opanować się przed spotkaniem z zarządcą terenu. Była na siebie wściekła za wdanie się w kolejny słowny pojedynek z Cole'em Jaskiniowcem. Dlaczego pozwala się sprowokować? Powinna go po prostu ignorować.

Westchnęła i zapatrzyła się na odległą grupkę graczy. Musiała szczerze przyznać, że to nie pojedynki na słowa tak ją poruszały. Była to coraz silniejsza świadomość męskości Cole'a Yardleya. Jak on mógł jej się chociaż trochę podobać? I dlaczego?

Nawet go nie lubiła. Był arogancki, zbyt pewny siebie. Traktował agentki w sposób niewybaczalny.

Jednak kiedy otarła się o jego twarde ciało na parkingu, ugięły się pod nią nogi. A kiedy ją zatrzymał, by zapytać o śledztwo, zauważyła, jaki jest przystojny i jak działa na nią jego uśmiech.

Świetnie wyglądał w beżowej sportowej kurtce, czarnej koszulce i dżinsach. Za dobrze.

Dla niektórych mężczyzn kurtka i dżinsy były strojem nieformalnym, ale podejrzewała, że dla Yardleya był to szczyt elegancji. Pierwszy raz widziała go w czymś innym, niż czarna koszulka ATF, dżinsy i ciężkie buty. Porównała oba obrazy i uznała, że są doskonałe.

Kurtka podkreślała szerokie ramiona, złote refleksy w ciemnobrązowych włosach i orzechowe oczy. Jednocześnie kryła to, co uwidaczniała koszulka. Wczoraj zauważyła, że koszulka Cole'a jest jak druga skóra, obciska umięśnioną pierś i potężne bicepsy.

Zadrzała. Co się z nią dzieje? Nie interesowała się agentem Yardleyem. Nie znosiła pewnych siebie typków, a poza tym nigdy nie łączyła pracy z przyjemnościami. Nie umawiała się ze współpracownikami. Nigdy.

- Przepraszam za spóźnienie, pani Campbell. - Do stolika podszedł mężczyzna koło pięćdziesiątki, ubrany w roboczą koszulę khaki i spodnie z plamami trawy na kolanach. - Musiałem sprawdzić wyciek wody przy trzynastym dołku. - Podał jej rękę z uśmiechem. - Carl Estrada, zarządca gruntów.

Uścisnęła jego rękę, zadowolona, że przerwał jej niepokojące myśli o Cole'u Jaskiniowcu.

- Dziękuję, że poświęca mi pan czas, panie Estrada.
- Wskazała krzesło naprzeciwko. - Proszę usiąść.
Obiecuję, że nie będę pana długo trzymać.

- Chętnie odpowiem na wszystkie pytania. Ale nie

sądę, bym mógł powiedzieć pani coś, czego nie mówiłem agentowi Yardleyowi.

Elise sztywno skinęła głową, wyjmując z torebki notes. Cole Jaskiniowiec pierwszy dotarł do świadka. Oby po raz ostatni.

- Rozumiem, panie Estrada. Jednak mogę zadać jakieś pytanie, które nie przyszło do głowy agentowi Yardleyowi. - Uśmiechnęła się, by go uspokoić. - Słyszałam, że to pan znalazł broń w szopie.

- Zgadza się. - Wskazał grupę budynków oddaloną o kilkaset metrów. - Od jakiegoś czasu szopa była pusta, więc sprawdzałem, czy zmieści się tam nowy sprzęt ogrodniczy. - Urwał. - Okazało się, że jest pełna drewnianych skrzyń.

- Czy do szop jest jakaś droga dojazdowa? - spytała Elise, modląc się, by Cole nie wpadł na to pytanie.

- Tak, ale jeżdżą nią tylko pracownicy i ciężarówki dostawcze.

- Jakie dostawy? - zapytała z ciekawością, zastanawiając się, czy Cole Jaskiniowiec poszedł tym tropem.

Carl Estrada wzruszył ramionami.

- Głównie towar do sklepu, sprzęt ogrodniczy. Czasami, kiedy mamy jakąś imprezę, jak festiwal letni w przyszłym tygodniu, trzymamy tam zapasy dla restauracji i baru, o ile nie wymagają chłodzenia.

Elise od razu się ożywiła.

- Jak się dostarcza dodatkowe zapasy?

- Zazwyczaj osiemnastokółowymi ciężarówkami - odparł, wskazując drogę ruchem głowy. - O, to kolejna dostawa. Chce pani podejść i sprawdzić?

- Bardzo chętnie. - Uśmiechnęła się. - Czy prowadzi pan dziennik dostaw?

- Pewnie. - Ruszyli przez trawnik. - Mam go w biurze, koło budynków gospodarczych.

Mogłaby uzyskać nakaz sądowy, ale miała nadzieję, że nie będzie to konieczne.

- Czy mogłabym skopiować wpisy z ostatnich miesięcy?

- Ależ proszę - zapewnił Carl. - Mam w biurze kopiarke.

- Dziękuję, panie Estrada. - Twarz Elise ponownie rozjaśnił wdzięczny uśmiech.

Cole siedział z Phillipem Westinem przy stoliku koło okna i widział Campbell idącą przez trawnik z Carlem Estradą. O co jej chodziło? Uśmiechnął się z wyższością. Spóźniła się parę dni z tym kawałkiem śledztwa. Wczoraj rozmawiał z Carlem i sprawdził szopy.

Rozkoszował się kołysaniem jej bioder, widokiem długich, szczupłych nóg.

- Podoba ci się widok, Yardley? - spytał Phillip Westin z błyskiem w oczach.

Cole pokręcił głową.

- Nie... właściwie to nie - skłamał. - Zastanawiam się tylko, co ona chce tam znaleźć. Wczoraj wszystko sprawdziłem.

- A, o to chodzi! Przyjacielska rywalizacja między ATF i FBI. - Westin uśmiechnął się szerzej, dając do zrozumienia, że nie uwierzył w ani jedno słowo Cole'a.

- Coś w tym rodzaju - mruknął Cole. Odchrząknął i sięgnął po piwo. - Co mówiłeś o Mercadzie?

Westin nagle spoważniał.

- Powiedziałem, że wierzę Ricky'emu. Twierdzi, że się wycofał z rodzinnego interesu. To mi wystarczy.

- A dlaczego myślisz, że mówi prawdę? - spytał ostrożnie Cole. Facet był wyraźnie przekonany o niewinności Mercada. Chciał dojść dlaczego.

- Każdy dobry dowódca zna swoich ludzi. Dziewięć razy na dziesięć wie, kiedy kłamia. - Westin odstawił na stół pustą butelkę po piwie i spojrzał Cole'owi w oczy. - Mercado mówi, że z tym skończył i z tego, co widziałem, nie kłamie.

Cole skinął głową.

- Inwestował w nieruchomości. Wszystko wskazuje na to, że przynajmniej w tym wypadku mówi prawdę.

Cole uznał, że czas wyłożyć kawę na ławę i przejść do swoich wątpliwości na temat Mercada.

- Wuj wychowywał go na głowę rodziny, ale po śmierci Carmine władzę przejął Frank Del Brio.

Westin skinął głową.

- Po śmierci Carmine Ricky zmienił zdanie na temat mafii. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek mu się podobała, a już na pewno niedługo po tym stwierdził, że ma dość. - Pochylił się naprzód. - Kiedy zginął Del Brio, władzę w rodzinie przejął John Valente.

- Ricky zrezygnował sam, czy była walka o władzę? - spytał Cole, mając wrażenie, że wpadł na jakiś trop. - Wiem, że Del Brio i Mercado niezbyt się lubili.

- Ricky nigdy o tym nie mówił, a ja nie pytałem.

Zawsze mieliśmy niepisaną zgodę - im mniej wiem, co się u nich dzieje, tym lepiej.

- To pewnie najbezpieczniejszy sposób na waszą przyjaźń z Mercadem - zgodził się Cole. Dopił piwo. - A skoro mowa o bezpieczeństwie, Wainwright mówi, że od jakiegoś czasu nie dostawałeś listów i nie było zabitych krów.

Na wspomnienie swoich niedawnych kłopotów Westin spochmurniał.

- Wszystko ucichło jakieś trzy tygodnie temu.

- Jeśli to pocieszy ciebie i twoją żonę, jestem całkowicie pewien, że Gonzalezowi zrobiło się za gorąco i uciekł z powrotem do Mezcyai.

Westin przesunął dłonią po ciemnych włosach, a w jego oczach błysnęła furia na wzmiankę o Xavierze Gonzalezie, młodym terroryście z El Jefe, który obwiniął go za śmierć swojego ojca.

- Jeśli drań ma odrobinę oleju w głowie, zostanie tam.

Cole nie dziwił się Westinowi. Gonzalez kosztował go utratę kilku najwyższej klasy krów i spowodował wypadek żony Westina, Celeste, w którym o mało nie zginęła. Stało się to tuż przed ich ślubem.

Siedząc przy stole z Phillipem Westinem, Cole cały czas ukradkiem zerkał w stronę głównego budynku. Westin nie dodał nic nowego do tego, co powiedział już przedtem, a Cole wiedział, że o Rickym Mercadzie nic więcej się od niego nie dowie.

Gdy tylko dostrzegł Campbell idącą w stronę budynku, wstał i wyciągnął rękę.

- Dziękuję za spotkanie, Westin.
- Przepraszam, że nie mogłem pomóc, Yardley. -
Westin uściśnął mu dłoń i wyszczerzył zęby. - Ale kiedy zapytasz następnym razem, powiem ci to samo. Ricky nie ma nic wspólnego ze sprawkami Mercadów. Głowę za to dam.

- Pożyjemy, zobaczymy.

Cole sięgnął po rachunek, ale Westin był szybszy. Zerknął na kartkę, pokręcił głową i sięgnął po portfel.

- Ucieknie ci, jak będziesz sobie zawracał głowę rachunkiem. - Spojrzał na Campbell idącą w stronę patio. - A takiej damy żaden facet by nie wypuścił.

- Jesteś żonaty, zapomniałeś? - przypomniał mu Cole. Co go opętało?

Westin parsknął śmiechem.

- I to szczęśliwie! Ale nie jestem ślepy.

Uśmiech Westina rozwścieczył Cole'a. I nie rozumiał, dlaczego. Campbell go przecież nie interesowała.

- Lepiej się pośpiesz, Yardley.

Cole bez słowa odwrócił się i ruszył do wyjścia, słysząc za sobą serdeczny śmiech Phillipa Westina.

ROZDZIAŁ TRZECI

Elise stała na ogromnej werandzie budynku klubu, szukając w torbie kluczyków do wynajętego samochodu. Gdy wreszcie je wymacała, wyczuła, że ktoś stanął obok niej.

- Dzień dobry, laluniu.

Dostała gęziej skórki na sam dźwięk głosu Johna Valentego.

- Dzień dobry, panie Valente - odpowiedziała nie patrząc na niego.

Gdy poznała nowego szefa rodziny Mercado, stwierdziła, że własna matka musiała dostawać gęziej skórki na jego widok. Był obrzydliwy.

John Valente był wysoki i muskularny, miał krótkie czarne włosy i oliwkową cerę. Grubo ciosane rysy twarzy wykrzywiały permanentny pogardliwy grymas. Krzywy nos, najwyraźniej kilkakrotnie złamany, długa, biała blizna biegnąca od skroni do prawego policzka i głębokie zmarszczki na czole nie dodawały mu urody. Ale to nie jego wygląd ją odstręczał.

Podniosła wzrok i spojrzała w jego przymrużone oczy. Zadrzała. Ile razy patrzyła w te ciemne oczy, odnosiła wrażenie, że ten człowiek nie ma żadnych zasad, sumienia ani duszy.

- Chyba pani nie wychodzi, pani Campbell? - spytał Valente, a jego ochrypły głos wywołał u niej kolejny dreszcz.

- Agentka Campbell. I owszem, wychodzę.

Ruszyła, ale chwycił ją za łokieć.

- Może zostanie pani i wypije ze mną drinka?

Musiała użyć całej siły woli, by nie odsunąć się z obrzydzeniem.

- Nie mogę. Jestem na służbie, panie Valente. A teraz przepraszam.

- O, jesteś. - Oboje odwrócili się na dźwięk znajomego głosu Cole'a Yardleya. Pojawił się w drzwiach klubu. - Szukałem cię, skarbie.

Świetnie! Jeszcze jej tylko brakowało Cole'a Jaskiniowca.

- Yardley - głos Valentego stwardniał nagle.

- Cześć, Valente. - Yardley podszedł i objął ją ramieniem w talii, przyciągając do siebie. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Co ty...

- Widzę, że poznałeś agentkę Campbell - przerwał jej.

Valente puścił jej łokieć, ale zauważyła, że zacisnął dłoń w pięść.

- Tak, miałem przyjemność poznać ją wczoraj. Żałuję tylko, że nie w miłszych okolicznościach.

- Z całą pewnością - odparł Yardley, głosem równie napiętym. Objął ją mocniej, gdy Valente posłał jej lubieżny uśmiech. Odwrócił się do niej. - Jesteś gotowa, skarbie?

- Nie mogę uwierzyć...

- Mam tu kluczyki - przerwał jej znowu, unosząc pilota do samochodu. Zanim zdążyła zaprotestować przeciwko jego poufałości, pociągnął ją za sobą.

- Do zobaczenia, Valente - zawołał.

- Co to miało znaczyć? - zawołała Elise, usiłując odsunąć się od niego.

- Nie wypadaj z roli, Campbell - odparł, trzymając ją mocno i prowadząc w stronę swojego samochodu.

- Valente ciągle za nami patrzy.

- A co to ma znaczyć?

- Chce zobaczyć, czy razem odjedziemy. - Yardley otworzył pilotem drzwiczki.

- W końcu się dowie, że nie.

- Niezupełnie. Zobacz, jak wsiadamy do mojego samochodu i odjeżdżamy.

- Nieprawda. .

Yardley, całkiem zamieniony w jaskiniowca, pozwolił sobie ją objąć.

- Owszem, zobaczy.

- Co ty właściwie...

- Upewniam się, czy Valente wie, że jesteś zajęta - oznajmił, opuszczając głowę.

Usiłowała zaprotestować, że sama umie o sobie dbać, ale gdy jego wargi dotknęły jej ust, zapomniała o wszystkim. Pocałunek Cole'a był powolny, jakby usiłował ją poznać.

Elise skupiła się na pocałunku. Jej krew zawrzała jak nigdy dotąd. Cole wsunął rękę pod jej żakiet. Kiedy przyciągnął ją bliżej i poczuła jego podniecenie, zrobiło jej się jeszcze goręcej.

W głowie rozzwoniły się dzwonki alarmowe. To był Cole Jaskiniowiec. Mężczyzna, który pracował nad tą samą sprawą i z którym może jeszcze kiedyś będzie współpracować.

Zdołała odsunąć się od niego odrobinę, ale nie wypuścił jej, chociaż przerwał pocałunek.

- To nie był dobry pomysł - powiedziała, zła na siebie za taką uległość. Jego uśmiech odebrał jej cały rezon.

- Był. A teraz wsiadaj do samochodu. Valente ciągle patrzy.

- A jakie to ma znaczenie? - Jak miała myśleć, gdy wciąż wyraźnie czuła, że jest bardzo podniecony?

- Chcę, żeby cię zostawił w spokoju - Cole spojrzał jej w oczy. - A teraz uśmiechnij się, jakbyś była zachwycona i wsiadaj.

Rzuciła mu pełen zdecydowania uśmiech. Nie o to mu chodziło.

- Nie.

- Powiedziałem, wsiadaj, skarbie - powtórzył przez zaciśnięte zęby.

- Powiedziałam: nie, Cole Jaskiniowcu.

Jej opór potwornie go irytował. Powinien był przewidzieć, że nie obędzie się bez kłótni. Była równie uparta jak on.

- Przysięgam, że jeśli zaraz nie wsiądziesz, znowu cię pocałuję.

- Nie odważyłbyś się. - Zmrużyła śliczne zielone oczy.

Pocałował ją w czubek nosa, przyciskając ją do siebie jeszcze mocniej.

- Założysz się?

Patrzyła na niego przez kilka długich sekund, po czym wysunęła się z jego objęć i wsiadła do samochodu. Od jej spojrzenia powinien paść trupem na miejscu. Z trudem powstrzymał głośny śmiech, słysząc słowa, które wymamrotała, zanim zatrzasnęła drzwi.

Odetchnął głęboko i obszedł samochód. Nie był przygotowany na efekty tego pocałunku. Miała najśodsze wargi i wciąż walczył z chęcią przerwania jej sobie przez ramię, znalezienia jakiegoś ukrytego miejsca i kochania się z nią do upadłego.

Jednak gdy zerknął w stronę ganku, resztki pożądania zniknęły. Valente wciąż stał i obserwował scenkę, którą Cole właśnie urządził z Campbell. Cole chciał tylko, żeby zostawił ją w spokoju, ale w tej chwili z największą przyjemnością przyłożyłby Valentemu w tę lubieżną gębę.

Kiedy usiadł za kierownicą, Campbell wyglądała tak, jakby zamierzała obedrzeć go żywcem ze skóry.

- Campbell, najpierw mnie wysłuchaj. Jeśli nie chcesz opędzać się od niego przez całe śledztwo, pozwól mu myśleć, że nie jesteśmy tylko kolegami.

Zaskoczyła go, wybuchając śmiechem.

- Jesteś jaskiniowcem pod każdym względem, Yardley. Naprawdę myślisz, że nie poradziłabym sobie z takim padalcem jak Valente?

- Jestem pewien, że tak myślisz. - Cole wycofał się z parkingu i ruszył alejką. - Ale Valente to facet nie mający wielu zalet, o ile w ogóle jakieś ma.

- I uważasz, iż jeśli uzna, że ty i ja jesteśmy... - ur-

wała, jakby szukała właściwego słowa - ..sobie bliscy, nie będzie się wtrącał do mojego śledztwa?

- Nie do końca. - Cole skręcił na główną drogę w stronę Mission Creek. - Ale znam ten typ. Nie widzi w tobie agentki federalnej. Widzi tylko atrakcyjną kobietę, którą próbuje manipulować. Gdzie się nie odwrócisz, tam będzie. Spróbuje się dowiedzieć, co wygrzebałaś, żeby odwrócić twoją uwagę.

- Yardley, chyba nie wierzysz, że dam się złapać na tak banalne zagrywki.

Cole zerknął na nią.

- Wydaje ci się, że przypadkiem znalazł się w klubie na ganku? Akurat wpadł, kiedy wychodziłaś?

- Nie pomyślałam o tym - zmarszczyła brwi.

- Zapewniam cię, że to nie był przypadek-oznajmił stanowczo. - Jego ludzie obserwują każdy twój ruch, donoszą mu, gdzie jesteś i z kim. - Cole zatrzymał się przed hotelem. - To był mój sposób na danie mu do zrozumienia, że jeśli się nie wycofa, będzie miał ze mną do czynienia.

Elise patrzyła na Cole'a, niepewna, co powiedzieć. Można by pomyśleć, że usiłował bronić jej przed Valentem jak mężczyzna broni kobiety, która go interesuje, a nie jej śledztwa. Bez sensu. Cole Jaskiniowiec nawet jej nie lubił. Dlaczego miałby się o nią martwić?

- Chyba jestem w stanie poradzić sobie z Johnem Valente.

- Tak ci się wydaje - odparł, wyłączając silnik. - Ale czym się zajmujesz w biurze?

- Pracowałeś ze mną dwa lata temu. Wiesz, że mam dyplom z księgowości.

Skinął głową.

- No właśnie. Większość czasu spędzasz przy biurku z nosem w wydrukach albo w innych papierach. - Ujął jej podbródek. Ciepło jego dłoni przeszło ją aż do stóp.

- Nie masz doświadczenia w pracy w terenie jak ja i nie jesteś przyzwyczajona do takich szcurów jak Valente. Ja tak.

Odsunęła się, by się nie poddać jego dotykowi.

- A jak niby mam zdobyć to bezcenne doświadczenie, jeśli nie wstanę od biurka i nie spotkam się z typami pokroju Valente?

- Cholera jasna! Słuchałaś mnie w ogóle?

Wysiadł, ale zanim zdążył obejść samochód, ona odetchnęła z ulgą i sama sobie otworzyła drzwiczki. Jaskiniowiec wrócił. Dzięki niebiosom! O wiele lepiej czuła się bawiąc w pojedynki słowne z Cole'em Jaskiniowcem, niż mając do czynienia z Cole'em Yardleyem, którego pocałunki totalnie ją ogłupiały.

- Właśnie dlatego nie pracuję z kobietami - mruknął, kładąc dłonie na dachu półciężarówki i chwytając ją w pułapkę. Pochylił się, aż ich nosy niemal się zetknęły. - Uważają, że w każdej sytuacji poradzą sobie tak samo jak mężczyźni. Ale to bzdura. I zgadnij, kto oberwie, usiłując uratować kobiecie tyłek?

- Daj spokój, jaskiniowcu. Naprawdę uważasz, że agentki do niczego się nie nadają?

- Tego nie powiedziałem - zaprzeczył. - Chodzi mi

o to, że facet typu Valente nie gra według zasad, a kobiety takie jak ty nie wiedzą, jak się przed tym bronić.

- Nie sądzę, by Valente był dla mnie takim strasznym zagrożeniem.

W orzechowych oczach Cole'a lśniła złość.

- Skarbie, ja bym mu nie ufał ani przez sekundę.

Patrzyła na niego dłuższą chwilę. Był za blisko, by mogła zignorować, jaki jest seksowny i przystojny.

- Jeśli cię to interesuje, szkolenie w akademii FBI w Quantico powinno uspokoić większość twoich obaw - zawiadomiła go, gdy odzyskała głos. - Ale na wszelki wypadek wyjaśnię. Przeszłam szkolenie z psychologicznych i fizycznych taktyk obrony i ze strzelania. Miałam najlepsze wyniki w grupie, więc chyba mogę sobie z nim poradzić równie dobrze jak ty.

Kiedy ruszyła przed siebie, Cole złapał ją za ramię.

- Skarbie, odrobina ubezpieczenia nigdy nikomu nie zaszkodziła.

Cofnęła się.

- Doceniam twoją troskę, jaskiniowcu, ale zostaw to mnie. Nie potrzebuję udawanego kochanka do obrony.

Cole, rozwścieczony i sfrustrowany, patrzył, jak Campbell znika w drzwiach hotelu. I taką dostał nagrodę za to, że próbował być dżentelmenem i chronić kobietę przed niebezpieczeństwem, którego uparcie nie chciała dostrzec.

Z rezygnacją wszedł do samochodu i wyjechał na drogę. Musiał ochłonać i załatwić sprowadzenie jej samochodu do hotelu.

Jadąc przez miasto myślał o tym, jak połączyć śledz-

two z chronieniem Campbell. Powinien po prostu zająć się własną sprawą i pozwolić, by sama się przekonała, jaki podstępny jest Valente.

Ale natychmiast odrzucił tę myśl. To jak rzucanie jagnięcia wilkom.

Czy agentka specjalna FBI Campbell chciała tego, czy nie, agent specjalny ATF Cole Yardley będzie jej chłopakiem, póki znajdowali się w Mission Creek, pracując nad śledztwem w sprawie Ricky'ego Mercada i mafijnej rodziny Mercado.

Następnego ranka Elise siedziała w holu Pierwszego Banku Federalnego Mission Creek, by wręczyć nowemu prezesowi sądowy nakaz zajęcia dokumentów dotyczących kont zmarłych Carmine Mercada i Franka Del Brio. Miała też podobny dokument dla jak najbardziej żywego Ricky'ego Mercada. Gdy już pozbiera wszystkie papiery, wróci do hotelu i przez resztę dnia będzie porównywała dane z liczbami na dokumentach firmy przewozowej i ogrodniczej Mercadów. Jeżeli był między nimi najmniejszy związek, ona go znajdzie.

Spojrzała na zegarek, zastanawiając, się co prezesowi zajmuje tyle czasu. Minęło pół godziny, odkąd sekretarka poszła go zawiadomić, że przyszła agentka FBI.

Elise wstała, by przypomnieć sekretarce, że czeka, gdy drzwi gabinetu otworzyły się i wyłonił się z nich Cole Jaskiniowiec. Co on tu robi? Dane finansowe nie należały do jego śledztwa.

Gdy do niej podszedł, jej serce zabiło gwałtownie. A to znowu dlaczego? I dlaczego jego uśmiech był ta-

ki... przyjazny? I, co ważniejsze, czemu ona też się uśmiechała?

- Dzień dobry, Elise - powiedział. - Widzę, że znalazłaś swój samochód.

Przytaknęła ostrożnie. O co mu tym razem chodziło? Zwrócił się do niej po imieniu. Nigdy przedtem tego nie robił.

- Zakładam, że to ty załatwiłeś, żeby wczoraj wrócił do hotelu?

Uśmiechnął się, powodując u niej znowu wzrost temperatury.

- Myślałem, że będzie ci dzisiaj potrzebny.

- Agentko Campbell, pan Harling teraz panią przyjmie - powiedziała sekretarka.

- Już idę - odpowiedziała, zadowolona, że może się oddalić od niepokojącego Yardleya. - Dziękuję za zwrot samochodu. A teraz przepraszam, mam spotkanie.

- Do zobaczenia, skarbie - odpowiedział głośno.

Kilku klientów odwróciło się i spojrzało w ich stronę. Elise czuła, jak płoną jej policzki.

- Dlaczego to powiedziałeś? - spytała szeptem. - Teraz wszyscy pomyślą, że między nami coś jest.

Pokiwał głową i wyszczerzył zęby.

- O to chodzi.

- Dlaczego? - Otworzyła szeroko oczy.

- Mówiłem ci, że wciąż cię obserwują? - wyszeptał jej do ucha. - Tam przy okienku dla nowych klientów stoi jeden z ludzi Valentego.

Elise rozejrzała się, ale zobaczyła tylko strażnika i starszego pana opartego na lasce.

- Jasne, Yardley. - Ze złością pokręciła głową. - Nie mam czasu na twoje gierki, bo jestem spóźniona. Ale to nie koniec. Jak tylko znajdę wolną chwilkę, będziemy sobie musieli parę rzeczy wyjaśnić.

Z uśmiechem ruszył w stronę drzwi.

- Nie mogę się doczekać, skarbie.

Cole oparł się o samochód Elise i czekał na nią przed bankiem. Nie miał wątpliwości, że przy pierwszej okazji dostanie od niej burę za tę scenkę w holu. Ale nie miał wyjścia. Im szybciej się rozejdzie plotka, że są razem, tym szybciej Valente się odczepi.

Nie obawiał się, że Elise da się złapać na zaczepki Valentego. Nie była głupia. Bardziej go niepokoił upór Valentego. Nie był przyzwyczajony do odmowy. Przy tym kompletny brak skrupułów sprawiał, że Valente stawał się nieprzewidywalny i niebezpieczny.

Dużo bezpieczniej będzie pozwalać, by nazywała go jaskiniowcem i krzyczała na niego przy każdej okazji, niż narazić ją na zaloty takiego gada jak Valente.

Kiedy Elise pozbiera wszystkie potrzebne jej dane i będzie bezpiecznie zamknięta w swoim pokoju, grzebiąc w dokumentach, Cole wznowi swoje śledztwo i rozwiąże sprawę.

Uśmiechnął się, widząc, jak Elise wychodzi przez szklane drzwi z wielkim pudłem papierów.

- Pomóc ci, Campbell?

- Poradzę sobie.

Przez chwilę patrzył, jak się męczy, po czym wziął od niej pudło.

- Do bagażnika czy na siedzenie?

- Do bagażnika. - Otworzyła go pilotem.

Włożył tam ciężkie pudło i zamknął klapę. Odkrył, że Campbell patrzy na niego groźnie.

- Dlaczego na mnie czekałeś?

- Nie ma za co - uśmiechnął się.

- A... tak, dziękuję. - Zmarszczyła brwi. - Nie zmieniaj tematu.

Wzruszył ramionami i podszedł do drzwi pasażera.

- Myślałem, że pojedę z tobą do Ricky'ego Mercada. Zmrużyła oczy.

- Skąd wiesz, że do niego jadę?

- Rozmawiałem wczoraj z szeryfem Wainwrightem, kiedy mi pomagał z twoim samochodem. - Cole szybko wszedł do auta, by Elise mu nie uciekła. - Powiedziałem mu, że zabiorę się z tobą, kiedy pojedziesz wręczyć Mercado nakaz zajęcia jego dokumentacji księgowej.

Usiadła za kierownicą.

- Chwileczkę. Zdecydowałeś o tym za mnie, nawet nie pytając o zgodę. Zgadza się?

- No, nie całkiem tak było - zaprzeczył, zapinając pasy.

- To może wyjaśnisz, jak było całkiem? - W jej oczach iskrzył gniew, co wyglądało fascynująco.

Cole wzruszył ramionami.

- Wainwright narzekał, że pojeździe z tobą do Mercada musi pędzić do Austin, więc zaproponowałem, że go zastąpię.

- Z jakiej racji? - spytała, odgarniając z czoła zabłąkany lok. - Nie powinienesz zająć się swoim śledztwem?

Zwalczył chęć pogładzenia jej kasztanowych loków.

- To właśnie robię. Ricky Mercado to mój główny podejrzany.

Pokręciła głową.

- Moim zdaniem się mylisz.

- A dlaczego myślisz, że nie jest w to wmieszany?

- O ile wiem, może być wmieszany tylko w pewnym stopniu. - Uruchomiła samochód. - Ale nie sądzę, żeby stał za całą operacją.

- Przemyt broni zaczął się dopiero jak Mercado wrócił z Mezcayi. - Czyżby znalazła już w papierach Valentego coś przeciwnego?

- Prawda. Odkryto przemyt, dopiero jak wrócił. Ale mam przeczucie, że ktoś to tak rozmyślnie zaplanował.

- Kobięca intuicja, co? - spytał, śmiejąc się głośno. Nie kazała mu jednak wysiąść z samochodu. Pewnie zbyt się zaangażowała w kłótnię.

Spojrzała na niego poważnie.

- Nie lekceważ kobiecych instynktów, jaskiniowcu.

- Będę o tym pamiętał, kiedy założę Mercado kajdanki i przeczytam mu prawa, skarbie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ricky Mercado, słysząc warkot samochodu, podniósł wzrok znad deski, którą wymierzał. Znowu ktoś do niego? - zastanawiał się, obserwując czerwony pojazd. Widział w środku dwóch pasażerów.

Pewnie kolejni przekłęci agenci-rządowi zamierzają zawracać mu głowę. Innych gości ostatnio nie miewał. Większość przyjaciół była zajęta rozkoszowaniem się życiem małżeńskim albo unikała go z powodu ciągłych wizyt agentów federalnych.

Rzucił miarkę i zszedł ze schodków, po czym splótł ręce na piersi i czekał. Miał już wyżej uszu odpowiadania W kółko na te same pytania i zamierzał oznajmić, że jeśli nie mają przeciwko niemu żadnych konkretnych dowodów, to niech się odczepią.

Jednak kiedy zza kierownicy wysiadła wysoka, smukła kobieta o kasztanowych włosach, uśmiechnął się. Może nie jest tak źle. Agencja, którą z pewnością reprezentowała, miała dużo bardziej interesujących agentów niż ATF.

- Pan Mercado? - Pokazała mu odznakę. - Agentka Specjalna Elise Campbell z FBI.

- Co mogę dla pani zrobić, agentko Campbell? - Z zadowoleniem patrzył na atrakcyjną kobietę. Miała

piękne nogi, a wąska czarna spódniczka podkreślała jej figurę.

Wydawało się, że jest całkowicie skupiony na niej, ale lata służby wojskowej i całe życie w rodzinie Mercado nauczyły go baczyć uważnie na wszystko, co się dzieje wokół. Dlatego dożył trzydziestu pięciu lat. Od razu zorientował się, kiedy z samochodu wysiadł drugi pasażer. Zesztywniał, gotów do obrony, ale szybko stwierdził, że to Yardley.

Skinął mu głową, nie odrywając spojrzenia od kobiety.

- Cześć, Yardley.

Agent ATF stanął obok Campbell.

- Coś się zmieniło przez ostatnie parę dni, Mercado?

- Nic. A u ciebie coś nowego?

Yardley wsunął niedbale ręce do tylnych kieszeni dżinsów, spojrzął na kobietę i pokręcił głową.

- Wszystko po staremu.

Ricky przyglądał się mężczyźnie, który prześladował go niemal każdego dnia pytaniami na temat Mezcayi i przemytu broni z Mission Creek. Dzisiaj był jakoś dziwnie zdenerwowany. Jego postawa i to, że wciąż zerkał to na uroczą agentkę Campbell, to na Ricky'ego, wiele mówiły. O ile się nie mylił, Yardley był napalony na dziewczynę z FBI.

- Panie Mercado...

- Mów mi Ricky - powiedział, obdarzając ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem. Kątem oka widział, jak Yardley marszczy czoło.

Miał rację. Yardley pewnie nawet sam nie wiedział, jak głęboko wpadł. Przyszedł czas zemsty, stary.

- Agentko Campbell, czegokolwiek pani potrzebuje, wystarczy tylko poprosić. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Może wejdziemy do środka? Tam jest chłodniej.

- Nie, dziękuję, panie...

- Ricky - przerwał, zniżając głos.

Skinęła głową.

- No dobrze... Ricky. Przykro mi, ale to nie jest wizyta towarzyska.

- Co za szkoda! - Niemal parsknął śmiechem na widok miny Yardleya. - Czemu zawdzięczam tę przyjemność, agentko Campbell?

Z niemal przepaszającym uśmiechem podała mu papier.

- To nakaz sądowy zamrożenia środków i zajęcia dokumentacji księgowej w związku z toczącym się śledztwem.

Ricky poczuł przypływ wściekłości. Czy federalni nie mogą sobie wbić do głupich głów, że nie ma już nic wspólnego z rodziną Mercado? Czy przyjmą kiedykolwiek do wiadomości to, że teraz żyje zgodnie z prawem?

Jednak atrakcyjną kobietę stojącą przed nim obdarzył jedynie - taką miał nadzieję - wyrozumiałym uśmiechem.

- Z przyjemnością będę z panią współpracował.

- Dziękuję, Ricky. - Najwyraźniej jej ulżyło. Był gotów się założyć, że rzadko wypuszczano ją z biura na robotę w terenie. - Naprawdę jestem wdzięczna za ułatwienie mi pracy.

- Cała przyjemność po mojej stronie - skłamał Ri-

cky. Miał wrażenie, że stojący obok mężczyzna zaklął pod nosem. - Co takiego, Yardley?

- Nic nie mówiłem - mruknął.

Ricky położył rękę na plecach agentki Campbell i uśmiechnął się do niej.

- Może wejdziemy do środka i weźmie pani sobie wszystko, co pani potrzebne?

Weszli na ganek. Wcale się nie zdziwił, że Yardley depte im po piętach. Nie zamierzał spuszczać agentki z oka.

W tej skądinąd nieznośnej sytuacji pocieszało Ricky'ego jedynie to, że potwornie denerwuje Yardleya - najpierw usiłując oczarować kobietę, na której tamtemu zależało, a potem okazując wobec niej chęć współpracy, jakiej nigdy nie okazał agentowi.

W innych okolicznościach śmiałyby się głośno. Jednak teraz mimo wszystko nie było mu do śmiechu. Za wiele uwagi poświęcali jemu, zamiast szukać prawdziwych przestępców. Miał już dość czekania, aż sami to zrozumieją. Gdy tylko Yardley i jego dziewczyna z FBI pojedą, Ricky sam zabierze się do śledztwa.

Elise rozejrzała się po jadalni hotelu, czekając aż kierowniczka, pani Carter, znajdzie jej miejsce. Nie zamierzała schodzić na kolację, ale ostatnie sześć godzin zmęczyło ją i musiała zrobić sobie przerwę. Wróciła koło południa i cały czas siedziała w pokoju, przeglądając kolejne strony wydruków i sumując niekończące się kolumny liczb.

- Skarbie, chyba przydałoby ci się porządne, domo-

we jedzenie - oznajmiła pani Carter, przywołując ją gestem. - Co powiesz na stek z kurczaka z pysznym sosem i tłuczonymi ziemniakami, a do tego razowy chleb i domowe masło?

- Okropnie tuczące - mruknęła Elise do siebie. A do przypominającej babcię pani Carter powiedziała tylko: - Nie jestem bardzo głodna.

- Bzdura! - obruszyła się pani Carter, wskazując stół nakryty biało-czerwonym kraciastym obrusem. - Usiądź tutaj, zaraz ci coś przyniosę.

Elise usiłowała wytłumaczyć, że wolałaby sałatkę, ale po jednym spojrzeniu na twarz pani Carter wiedziała, że nie ma co się kłócić. Niektóre kobiety miały naturę kwoki. Pani Carter do nich należała.

Pogodziła się z myślą, że jutro będzie musiała rano przebiec dwa kilometry więcej, by pozbyć się tych kalorii.

- Dziękuję, pani Carter.

Pani Carter, najwyraźniej zadowolona, że może nakarmić Elise, ruszyła do kuchni, ale odwróciła się jeszcze.

- Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza, ale muszę posadzić jeszcze jednego gościa przy tym stole.

Elise rozejrzała się, marszcząc czoło. Spośród dziesięciu stołów zajęte były tylko trzy.

- Oczywiście, że nie, pani Carter, ale...

- O, już przyszedł - oznajmiła pani Carter, ruszając do wejścia. Kiedy wróciła, prowadziła za sobą Cole'a Jaskiniowca, - Chyba pan poznał pannę Campbell, prawda, panie Yardley?

- Tak jest, proszę pani - odpowiedział Cole. - Znamy się.

- Cudownie - pani Carter wskazała mu puste krzesło. - Proszę sobie usiąść, a ja zaraz przyniosę jedzenie.

Ruszyła truchtem do kuchni, zostawiając zaskoczono Cole'a.

- Ale ja nic nie zamówiłem.

Elise pokiwała głową, gdy usiadł naprzeciwko niej.

- Daj sobie spokój. Próbowałam wytłumaczyć, że wystarczy mi sałatka, a dostanę ziemniaki i sos. Podejrzewam, że i tobie przyniesie to samo.

Gdy rozległ się jego śmiech, znowu gorąco ogarnęło jej ciało.

- Prosiłaś, by mnie posadziła przy twoim stole?

- Akurat. - Usiłowała zignorować nagłe przyspieszone bicie serca, gdy ich kolana zetknęły się pod niewielkim stołem. - A ty prosisz, żeby ze mną siedzieć?

Pokręcił głową.

- Chyba...

- Chce nas ze sobą skojarzyć.

Skinął głową z uśmiechem.

- Mam wrażenie, że pani Carter to romantyczna osoba.

- Świetnie. Nie tylko usiłuje mnie utuczyć, ale jeszcze wyswatać.

- I to za jaskiniowca - dodał.

- Mogło być gorzej - odparła, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

- Mógłbym być jaskiniowcem nie umiejącym zachować się przy stole. - Uśmiechnął się szerzej i pod-

niósł ręce, by mogła je zobaczyć. - Ale jak widzisz, mam czyste ręce.

Elise patrzyła na jego duże dłonie. Były silne i męskie. Jak by to było, gdyby pieściły jej nagą skórę?

Zaszokowana swoimi niesfornymi myślami, sięgnęła po szklankę z wodą. Cole Jaskiniowiec był ostatnim mężczyzną, jaki mógł ją zainteresować. Nie tylko był agentem jak ona, w dodatku traktował kobiety w sposób dla niej nie do przyjęcia. Ale kiedy teraz patrzyła na niego, musiała przyznać, że przez ostatnie kilka dni dowiedziała się o nim paru rzeczy, których wcześniej nie dostrzegała. Jaskiniowe poglądy Cole'a Yardleya nie wynikały z męskiego kompleksu wyższości, jak początkowo myślała. Podejrzewała, że jego przekonanie o tym, iż agentki nie nadawały się do pracy w terenie brało się z nadopiekuńczości wobec kobiet, nie z uznania ich za gorsze.

- Proszę, dzieciaki - oznajmiła pani Carter, stawiając przed nimi dwa kopiaste talerze smakowicie pachnącego jedzenia. - Zaraz wrócę z chlebem, masłem i mrożoną herbata.

Elise, wdzięczna pani Carter za przerwanie niepokojących myśli o Cole'u Yardleyu, wciągnęła aromat unoszący się znad talerza.

- Pachnie cudownie.

- Pierwszy raz jesz dzieła pani Carter? - spytał Cole.

Skinęła głową, kładąc serwetkę na kolanach.

- Wczoraj wieczorem zjadłam paczkę krakersów i wypićam butelkę wody, Siedziałam nad papierami fir-

my transportowej. A poprzedniego wieczora przyniosłam do pokoju pizzę. O ile pamiętam, to zjadłeś jej kawałek.

- Zgadza się. Zanim się pożarliśmy.
- Chyba często to robimy.

Jedli pyszne jedzenie i rozmawiali. On mówił o braku rodzeństwa, ona o dwóch starszych siostrach. O tym, że jego wychował samotny ojciec, zawodowy wojskowy, a ją samotna, niezależna matka.

- A co się stało z twoim ojcem? - spytał Cole, kończąc stek.

- Zginął w wypadku, kiedy miałam sześć miesięcy. - Uśmiechnęła się smutno. - Miałam tylko jego zdjęcia i opowieści mamy. Zawsze chciałam mieć tatę, ale mama nie wyszła drugi raz za męża. Twierdziła, że był miłością jej życia i nie zamierzała się zadowalać czymś drugorzędym.

Cole skinął głową.

- Jakbym słyszał swojego tatę. Gunny poznał mamę w lecie, kiedy skończył szkolenie. Zawsze mówił, że jak tylko ją zobaczył, wiedział, że to ta albo żadna. Wzięli ślub dwa tygodnie później.

- Nie znali się zbyt długo - zauważyła Elise, zastanawiając się, jak ktoś mógł mieć taką pewność wyboru po jednym spotkaniu.

- Musiałybyś znać mojego tatę - zaśmiał się Cole.
- Kiedy Gunny podjął jakąś decyzję, nie było odwołania.

- Dlaczego mówisz na niego Gunny?
- Był żołnierzem piechoty morskiej z krwi i kości.

Zawsze mówił, że w jego życiu były dwie miłości, moja mama i wojsko. - Posmutniały Cole odchylił się do tyłu. - Po śmierci mamy zajął się wychowywaniem mnie i jeździł wszędzie, gdzie wojsko go wysłało.

- Ile lat miałeś, kiedy...

- Mama umarła? - Kiedy skinęła głową, zapatrzył się w przestrzeń, jakby usiłował sobie przypomnieć kobietę, która dała mu życie. - Właśnie skończyłem cztery lata. Gunny'ego przenieśli za granicę, więc wysłał mnie i mamę na rancho dziadków w Newadzie. Mama pomagała dziadkowi odłożyć jakieś rzeczy na strych i spadła z drabiny. Była wtedy w drugim miesiącu ciąży. Zaczęła krwawić i dziadkowie zabrali ją do szpitala, ale rancho było tak daleko od najbliższego miasta i lekarza, że nie zdążyli. Umarła w drodze.

Elise położyła rękę na jego dłoni.

- Tak mi przykro, Cole. Tobie i twojemu ojcu musiało być bardzo ciężko.

- Owszem - przyznał, kręcąc głową. - Ale ponieważ trzeba było się przeprowadzać mniej więcej raz na rok, musieliśmy polegać głównie na sobie i jakoś się ułożyć.

Domyślała się, że nie było tak łatwo, jak Cole udawał. Lekko ścisnęła jego dłoń.

- Nie mogę sobie wyobrazić, jak by to było nie spędzić całego życia w jednym domu. To musi być strasznie męczące tak się stale przenosić.

- Najpierw było ciężko. Kiedy akurat znalazłem jakichś przyjaciół, Gunny dostawał przeniesienie do kolejnej bazy. - Wzruszył ramionami. - W końcu dałem

sobie spokój z zawieraniem przyjaźni i zająłem się zgłębianiem wszystkich tajników broni i środków wybuchowych.

- Cudowne hobby dla dziecka - stwierdziła sucho.
- Wyjątkowo bezpieczne.

- Niczego nie wysadziłem. - Uśmiechnął się. - Jeśli nie liczyć tego razu, kiedy zrobiłem własne ognie sztuczne i rozwaliłem skrzynkę pocztową. Wsadziłem fajerwerk do środka. Trzeba było to widzieć, skrzynka wleciała z dziesięć metrów w powietrze.

- A co na to twój tata? Zdenerwował się?

- Pomagał mi w testach - odparł ze śmiechem Cole.
- Kiedy skrzynka wreszcie wylądowała, poszedł zobaczyć, co z niej zostało, potem popatrzył na mnie i spytał: „Jak myślisz, synu, nie przesadziliśmy z prochem?”

Dźwięk jego śmiechu i dotyk jego dłoni wywołały zadumę Elise. Dlaczego kiedy dwa lata temu pracowali razem w El Paso, nie zauważyła, jaki ma miły uśmiech i jaki potrafi być zabawny?

Kiedy tak usiłowała oddzielić Cole'a, którego -jak jej się wydawało - znała, od mężczyzny siedzącego przy jej stole, on z roztargnieniem zaczął kreślić kciukiem kółka na jej nadgarstku. Zadrżała. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

To był Cole Yardley z ATF, który nie powinien przypominać jej o dreszczu. Obowiązywała ją żelazna zasada na temat relacji z innymi agentami.

Powoli wycofała rękę i ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

- Przykro mi, ale muszę cię pożegnać. Zamierzam

posiedzieć jeszcze parę godzin nad papierami. Lepiej już pójdę. - Czy ten zdyszany głos naprawdę należał do niej?

On też spojrzął na zegarek, a potem skinął głową i wstał z krzesła.

- Ja też powinienem się zbierać.

- Miłego wieczoru, dzieci - zawołała pani Carter z drzwi kuchni. - Do zobaczenia na śniadaniu. Podajemy od szóstej.

- Dziękuję. - Elise uśmiechnęła się do niej. - Ale pewnie poproszę tylko o kawę do pokoju.

Odwróciła się by powiedzieć Cole'owi dobranoc, ale jego już nie było.

Cole siedział w swoim samochodzie kilkaset metrów od domu Ricky'ego Mercada, patrząc przez lornetkę z noktowizorem. Przez ostatnie dwie godziny obserwował, jak Ricky wymienia deski w schodach, wypija kilka piw i wymyśla szopowi, ile razy ten wysadził łeb spod ganku. Nie było w tym nic podejrzanego i nic nie wskazywało, by Mercado był kimś innym niż zwyczajnym facetem remontującym dom.

Cole opuścił lornetkę i potarł oczy. Nienawidził obserwacji. Była to najnudniejsza część jego pracy. Ale jeśli złapie jakiś trop, opłaca się długie godziny spędzone w ciasnej półciązarówce. Im szybciej dowie się czegoś o Mercado, tym szybciej będzie mógł wrócić do Vegas i zapomnieć o kobiecie, która tak mu załazła za skórę.

Zaczęło się od tego pocałunku na parkingu i nie mi-

jato. Kiedy był przy niej, musiał walczyć z pragnieniem dotknięcia jej, chwycenia jej w ramiona i pocałowania.

Ostatecznie dobiła go własna reakcja na widok zachowania Ricky'ego Mercado wobec Elise. Stworzył pozory, że są z nią czymś więcej niż tylko kolegami z pracy, ale przecież była to tylko farsa. Interesowała go wyłącznie obrona Elise przed tą żmiją Valentem.

Cole zaklął i znowu wycelował lornetkę w dom. Chciał zapomnieć, jaka była urocza przy kolacji.

Zauważył jakiś ruch na tyłach domu. Mercado wszedł do środka i zamknął drzwi. Przez następne pół godziny Cole przekonał się, że obiekt obserwacji postanowił najwyraźniej zakończyć dzień. W oknach nie było zasłon, więc widział, jak Mercado przechodzi z pokoju do pokoju, gasząc na dole światło. Kiedy wszedł do pokoju na górze i zgasił światło, Cole uznał, że Mercado położył się spać.

Ale mogło to być przedstawienie mające zmylić ewentualnego obserwatora. Mercado mógł jeszcze wyjść albo pod osłoną ciemności spotkać się z kimś w domu.

Cole postanowił zaczekać jeszcze parę godzin. Miał przeczucie, że i tak czeka go bezsenna noc dzięki świadomości, że Elise jest w sąsiednim pokoju, leży w łóżku, pewnie w seksownym negliżu.

Zaklął, zły na siebie. Ani trochę nie pociągała go Elise. Gdyby tylko jego ciało wreszcie to zapamiętało.

Przechodząc przez hol hotelu, Elise zamieniła parę słów z nocnym portierem. Była już prawie północ,

a ona spędziła cały wieczór na porównywaniu danych z kont zmarłego szefa mafii i Ricky'ego Mercado z papierami firmy transportowej Mercado Trucking oraz owocowej Superior Produce Company. Musiała odechnąć świeżym powietrzem przed położeniem się spać.

W świetle gwiazd i księżyca bez trudu trzymała się krętej ścieżki hotelowego ogrodu wzdłuż znakomicie utrzymanych klombów kaktusów i teksańskich dzikich kwiatów. Dotarła do końca ogrodu, weszła do altanki i usiadła na drewnianej huśtawce, zwieszającej się na łańcuchach.

Rozkoszowała się słabym zapachem bugenwilli unoszącym się w chłodnym nocnym powietrzu i zastanawiała się, gdzie się podziewał Cole. Nie widziała go ani nie słyszała, odkąd zniknął tak tajemniczo z jadalni.

- Co, do cholery, robisz tu o tej porze całkiem sama?

Elise podskoczyła słysząc nagle wściekły głos Cole'a.

- Dobry Boże, wystraszyłeś mnie prawie na śmierć - powiedziała, kładąc dłoń na piersi.

- I bardzo dobrze - oznajmił ze złością. Usiadł koło niej na huśtawce. - Nie powinnaś sama chodzić po nocy.

- Chyba żartujesz.

- Nie. - W świetle księżyca wpadającym do altanki widziała jego ponurą minę i nie miała wątpliwości, że mówi poważnie. - A gdyby Valente albo któryś z jego zbirów zobaczył cię tu samą?

- A nawet gdyby? Ogród jest ogrodzony. - Pokręciła głową. - Można tu wejść tylko przez hotel.

- Mylisz się, kobieto! - prychnął Cole. - Ten płotek ma góra półtora metra. Co to za przeszkoda?

- Po co ktoś miałby przełazić przez płot, skoro ogród jest otwarty?

- Jak na agentkę FBI jesteś najbardziej naiwną kobietą, jaką znam. A gdyby Valente chciał cię porwać? Albo gorzej?

- A po co miałby to robić? Sam powiedziałaś, że dał mi sfałszowane księgi firm - zaprzeczyła Elise. - Jest przekonany, że nie znajdę niczego, co by go łączyło z przemytem.

- Nie słyszałaś, że przestępcy lubią być pewni, że nic nie zostanie znalezione? - Pokręcił głową. - Odtąd, jeśli masz ochotę pospacerować po północy, daj mi znać. Wyprowadzę cię.

- Ach tak? Wyprowadzisz mnie na spacer jak jakiegoś pieska?

- Źle się wyraziłem. Będę ci towarzyszył. - W jego głosie było jakby mniej złości.

- Pozwól, że ci coś wyjaśnię, jaskiniowcu. - Elise była tak wściekła, że nie mogła usiedzieć na miejscu, więc wstała. - Będę chodzić, dokąd zechcę i kiedy zechcę, i to bez ciebie. Jasne?

Cole też wstał.

- Na pewno nie w takich ciemnościach, skarbie.

- Właśnie, że będę.

- Właśnie, że nie.

- No to patrz. - Ruszyła po schodkach, ale złapał ją za ramię.

- Elise, posłuchaj mnie!

Zwrócił się do niej po imieniu. Gdyby nie to, pewnie by się nie odwróciła.

Zaczął coś mówić, po czym zrezygnował i chwycił ją w ramiona. Zanim zdążyła zareagować, przycisnął usta do jej warg. Każda komórka w jej ciele ożyła. Elise przestała myśleć.

Poczuła gwałtowne, gorące pożądanie i zacisnęła palce na jego miękkiej koszulce, by nie upaść. Twarde mięśnie drżały pod jej dotykiem. Opadła na Cole'a, a on złapał ją i przytulił mocno, aż poczuła jego podniecenie. Oddychając z trudem, przerwał pocałunek i popatrzył na nią. Pragnienie i namiętność, które zobaczyła w jego orzechowych oczach sprawiły, że przeszył ją dreszcz zachwyту.

Przyglądał się jej długą chwilę, a potem wplątał palce w jej włosy.

- Kiedy zobaczyłem, że nie ma cię w pokoju...
- Urwał, jakby nie mógł lub nie chciał ująć w słowa swoich uczuć. Odetchnął głęboko i pokręcił głową.
- Proszę, obiecaj mi, że nie wyjdiesz więcej sama w nocy.

Gdyby była w stanie cokolwiek wykrztusić, powiedziałaby mu, że nie ma o tym mowy. Ale chociaż w myślach odrzuciła tak idiotyczną prośbę, pokiwała głową na zgodę.

Cole zerknął na zegarek na nocnym stoliku i walnął pięścią w poduszkę. Niedługo świt, a on nawet nie zmrużył oka. Ile razy próbował, przypominała mu się obezwładniająca niemoc, która go ogarnęła, gdy otwo-

rzył drzwi między pokojem swoim a Elise i odkrył, że jej nie ma. W ułamku sekundy przez głowę przemknęła mu setka możliwych scenariuszy, a wszystkie kończyły się widokiem jej usiłującej wydostać się z lubieżnego uścisku Johna Valentego.

Odrzucił przykrycie i usiadł na boku łóżka, opierając łokcie na kolanach i kryjąc głowę w dłoniach. Co się z nim działo? Co go opętało, że zaczął całować Elise do utraty tchu?

W niczym nie przypominała spokojnych, łagodnych kobiet, które go zazwyczaj pociągały. Elise Campbell miała ostry język i kłótlivy charakter, co go doprowadzało do szału. A jej upór świętego wyprowadziłyby z równowagi.

Westchnął, wstał i poszedł do łazienki, by ochlapać twarz zimną wodą. Nie potrzebował tego. Pracował sam. I lubił to.

Jednak myśl, że Valente miałby ją tknąć, w złości czy pożądanu, powodowała, że zgrzytał zębami z furii. Dlaczego czuł tak wielką potrzebę chronienia jej przed Valentem?

Tłumaczył sobie, że Elise jest zbyt niedoświadczona, by potrafić utrzymać na dystans szefa rodziny Mercado, i że chciał tylko upewnić się, że ta uparta dziewczyna nie wpadnie w kłopoty. Jednak były na to mądrzejsze sposoby niż całowanie jej przy każdej okazji;

Nic dziwnego, że nazywała go jaskiniowcem. Mało brakowało, a przerzuciłby ją sobie przez ramię i zawlókł do swojego łóżka. Nawet jej chyba o tym wspomniał.

Wrócił do łóżka i westchnął, wpatrując się w sufit. Przez ostatnie trzy dni zawodziła go jakoś inteligencja.

Wspomnienie słodkich warg Elise i jej miękkiego ciała sprawiło, że jeszcze mocniej odezwała się jego opiekuńcza natura. I miał podejrzenie, że do końca śledztwa uczucia te będą tylko przybierać na sile.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Elise ziewnęła, usiłując skupić się na kolumnach cyfr. Od godziny próbowała znaleźć rozbieżności między księgami Carmine Mereado, jego następcy, Franka Del Brio oraz księgami Mereado TrucMng Company. Pozornie wszystko wydawało się w porządku, ale chociaż sumy się zgadzały, coś jej się nie podobało i była przekonana, że owo coś znajdzie.

Na chwilę się poddała, odchyliła do tyłu i potarła oczy. Jej kłopoty z koncentracją wynikały częściowo z wczorajszego nocnego spotkania z Cole'em. Wspomnienie jego pocałunku i tego, jak się tuliła do tego jaskiniowca, powodowało, że jej policzki płonęły, a ciało ogarniało gorąco.

Jak mogło jej się robić gorąco na myśl o mężczyźnie, którego nawet nie lubiła. I jak mogła złamać swoją żelazną zasadę nieumawiania się z mężczyznami, z którymi pracuje?

Jednak na myśl o tym, że Cole ją obejmował, całował jak nikt dotąd, poczuła łaskotanie na wargach i ściskanie w żołądku.

Nie mogąc usiedzieć w miejscu, wstała i popatrzyła przez okno na ogród. Biała altanka na końcu była ukryta za otaczającymi ją dębami.

- Dlaczego Cole Jaskiniowiec? Co w nim było takiego, co nagle wydało się jej takie... kuszące?

Nie zmienił się tak bardzo przez dwa lata. Jak mogła w to wątpić? W takim razie dlaczego nie mogła o nim zapomnieć - o jego uśmiechu, głębokim śmiechu i męskich wargach?

Poczuła rozkoszne napięcie, a kolana się pod nią ugięły. Wróciła do biurka, zaznaczyła na wydrukach miejsce, gdzie skończyła, zapisała liczbę na ekranie kalkulatora i wyłączyła go. Pewnych rzeczy lepiej nie tykać, takich choćby, jak jej nagłej skłonności do Cole'a Jaskiniowca. Potrzebowała za to czegoś, co pozwoliłoby zapomnieć o tym mężczyźnie i skupić się na poszukiwaniu dowodów, które - była o tym przekonana - połączą rodzinę Mercado i przemyt broni.

Zerknęła na zegarek i wyciągnęła jaskraworóżowy, sportowy stanik i szorty. Wrzuciła je do płóciennej torby, po namyśle dorzucając kostium kąpielowy i ubranie na zmianę. Pozbędzie się napięcia w siłowni klubu golfowego, a potem jeszcze popływa w krytym basenie. Kiedy skończy, będzie odprężona i gotowa do dalszych poszukiwań.

Uśmiechnęła się, wzięła kluczyki i ruszyła do drzwi. Życie w mieście zamierało na weekend i wszyscy wybierali się do klubu na doroczny festiwal letni. Była pewna, że Ricky Mercado i John Yalente też na nim będą. Może będzie miała okazję zauważyć coś podejrzanego, co doprowadzi do przełomu w jej śledztwie.

A im szybciej to się wydarzy, tym szybciej będzie

mogła wrócić do Wirginii i oddalić się od Cole'a Yardleya.

Ogromny kryty basen był prawie pusty, gdy Elise dotarła tam po ćwiczeniach i przebrała się w dwuczęściowy kostium. Prawie wszyscy byli na dworze, korzystając z grillowego bufetu i szukając partnerów do gier mających się zacząć po obiedzie.

W drzwiach minęła młodą parę i została sama, nie licząc mężczyzny pływającego tam i z powrotem w basenie. Gdy zbliżył się do końca, przy którym stała, zapatrzyła się na preżące się mięśnie jego pleców. Miał piękną muskulaturę i z pewnością ćwiczył regularnie. Sprawnie zawrócił pod wodą. W liceum Elise była w drużynie pływackiej i umiała rozpoznać doświadczonego pływaka.

Coś w tym mężczyźnie wydało jej się znajome. Gdy dotarł do drugiego końca basenu i odwrócił twarz, wszystko stało się jasne. To Cole Jaskiniowiec demonstrował swoją znajomość stylów pływackich.

Świetnie! Przyszła do klubu, żeby przestać o nim myśleć, a teraz podziwia jego fantastyczne ciało.

Elise postanowiła wyjść, zanim Cole ją zauważy i skrzywiła się, gdy znowu dotarł do końca basenu i zawołał ją.

- Hej, Campbell. Chcesz się ścigać?
- Nie. - Pokręciła głową.
- Masz stracha, co?
- Ja? - Roześmiała się.

Leniwie podpłynął do niej.

- No to mi udowodnij?
- Nie chcę urazić delikatnego męskiego ego.

Roześmiał się.

- Chyba wiesz, że nie możesz wygrać i szukasz wymówek.

Pokręciła głową.

- Zdaje się, że będę musiała ci udowodnić - stwierdziła, odwijając pareo. - Tylko pamiętaj, że próbowałam ci oszczędzić straszliwego upokorzenia, że pokonała cię kobieta.

Gdy odwinęła ze szczupłej talii delikatny materiał, Cole usiłował nie patrzeć. Dwuczęściowy kostium był skromny, ale na Elise wyglądał wyjątkowo prowokująco. Usiłował nie dostrzegać, jak nasycony niebieski kolor kontrastuje z jej kasztanowymi włosami. A to, jak kostium opinał jej pełne piersi i kształtne biodra, sprawiało, że z trudem oddychał.

Jej długie, smukłe nogi były idealne na to, by owinać się wokół mężczyzny i przytrzymać go mocno. Jego ciało zareagowało w taki sposób, że ucieszył się niezwykle, że jest w wodzie.

Wskoczyła do wody i wypłynęła obok niego. Co też mu przyszło do głowy, by prowokować ją do wyścigu? Jak on ma w tym stanie pływać, nie mówiąc już o wygrywaniu?

- Jesteś gotowy? - zapytała, uśmiechając się, jakby znała jakiś sekret.

Pokręcił głową, usiłując zapanować nad ciałem.

- Nie ustaliliśmy, ile basenów i jaka jest nagroda.
- Może dwa? - spytała.

- Na więcej cię nie stać?
- Chciałbyś! - Jej radosny śmiech odbijał się echem w hali. - Chciałam ci tylko ulżyć, bo już kilka mil przepłynęłaś.

- O mnie się nie martw, skarbie - mruknął Cole.
- Cztery.

- A co dostanę za pokonanie cię?
- Będę ci stawiać kolację przez następny tydzień.
- A jak ty wygrasz?

Otarł kroplę wody z jej twarzy.

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

Jej uśmiech zniknął.

- Chyba nie podoba mi się, że nie wiem...
- Trzy, dwa, jeden, start!

Ruszył, zanim Elise zdążyła zaprotestować. Ponieważ małe były szanse, żeby go pokonała, uznał, że nie będzie robił trudności i pozwoli jej kupić sobie piwo. Ale nie musiał jej o tym od razu mówić.

Kiedy zawrócił na końcu basenu, nie zdziwił się, że była tuż za nim. Trochę zwolnił, by łudziła się, że ma szansę na zwycięstwo. Jednak gdy skończył trzy długości i zaczął ostatnią, był mocno zaskoczony, że wciąż jest przy nim.

Wysunęła się naprzód i musiał uruchomić ostatnie rezerwy, by ją dogonić. Kiedy zbliżali się do końca, dał z siebie wszystko, ale i tak dotknęła brzegu basenu ułamek sekundy przed nim.

- Robiłaś to... przedtem - oskarżył, usiłując złapać oddech.

Pokiwała głową i otarła wodę z oczu.

- Cztery lata w liceum. W ostatniej klasie byłam mistrzynią stanu w pływaniu.

- Nabrałaś mnie.

- Wcale nie - zaprotestowała. - To ty się chciałaś ścigać.

- Tak, ale ty mi nie powiedziałaś, że byłaś zawodniczką.

Wzruszyła ramionami.

- Pogódź się z tym, Yardley. Wygrałam uczciwie.

Chciała wyjść z basenu, ale chwycił ją za ramię.

- Nie wygrałbym, gdybym specjalnie nie zwalniał.

- Nagle przestało mieć znaczenie, kto wygrał. Objął ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie.

- Co ty... wyrabiasz? - spytała Elise, bardziej zdyszana, niż powinna być po wyścigu.

Uśmiechnął się.

- Odbieram nagrodę pocieszenia.

- Głupi pomysł, Yardley.

- Pewnie tak. Ale my, jaskiniowcy, nie jesteśmy za inteligentni. - Zanim zdążyła znowu zaprotestować, pochylił głowę i pocałował ją.

Woda muskała ich podbródki. Cole, uważając, by utrzymać ich oboje nad wodą, całował ją bez pośpiechu. Kiedy Elise objęła go za szyję, przyciągnął ją bliżej i poczuł dotyk jej pełnych piersi i nagiego brzucha. Fala gorąca spłynęła prosto do najwrażliwszej części jego ciała.

Gdy westchnęła, domyślił się, że odczuwała podobnie. Korzystając z jej uległości, pogłębił pocałunek. Napięcie między nimi robiło się coraz intensywniejsze,

a kiedy Elise owinęła nogi wokół jego talii, miał wrażenie, że krew zamienia mu się w żyłach w ogień.

Uwięziony między jej gładkimi udami, z trudem utrzymywał ich oboje na powierzchni wody. Nigdy w życiu podniecenie nie nadeszło tak szybko i nie było tak intensywne jak w tej chwili.

Uznał, że oboje utoną, jeśli tego natychmiast nie przerwie, więc zakończył pocałunek.

- O rany, skarbie, przypomnij mi, żebyś się z tobą częściej zakładała.

Jak tylko to wypowiedział, pożałował. Namiętność natychmiast zniknęła z jej szmaragdowych oczu. Usiłowała odsunąć się od niego.

- Ja... muszę... - urwała, usiłując wymyślić coś, co wymagałoby natychmiastowej uwagi - ...wrócić do pracy.

Wciąż obejmując ją w talii, pokręcił głową.

- Wszystko jest pozamykane ze względu na letni festiwal. Niewiele możemy w ten weekend zrobić, oprócz obserwowania Mercada w klubie.

Oparła dłonie na jego ramionach, jakby chciała się wyplątać z jego objęć.

- Mam wydruki do porównania.

Zastanawiał się, dlaczego z miejsca, gdzie go dotykała, nie szła para. Pocałował ją w czubek uroczego noska.

- Znalazłaś coś, czym chciałabyś się ze mną podzielić?

Zmrużyła oczy, odepchnęła się od niego i usiadła na brzegu basenu.

- A więc o to ci chodziło! Myślałeś, że jak mnie pocałujesz, wszystko ci wygadam?

Skąd jej to przyszło do głowy?

- Elise, nieprawda. Pocałowałem cię, bo...

- Daruj sobie, Yardley. - Rzuciła mu groźne spojrzenie i chwyciła ręcznik. - Myślisz, że jestem aż tak głupia? Sam się teraz zdradziłeś. Ale o czymś jeszcze zapomniałeś.

- O czym? - spytał, zafascynowany tym, jak uroczo wyglądała, gdy była zła.

- Nie dzielimy się informacjami. A może zapomniałeś też, że pracujesz sam?

Patrzył, jak się energicznie wyciera. Ręcznik dotykał jej kremowej skóry w miejscach, których sam chciałby dotknąć. Elise Cambell nie była przecież w jego typie. Dlaczego więc chciał przerzucić ją sobie przez ramię, zabrać w jakieś ustronne miejsce i sprawdzić, czy w miłości jest tak namiętna jak podejrzewał?

Cole zaklął pod nosem, bez oglądania się odepchnął się od ściany basenu i zaczął pływać najszybciej, jak mu pozwalały obolałe mięśnie. Może fizyczne zmęczenie pozwoli mu zapomnieć o tym pocałunku i o tym, że był bardziej podniecony niż kiedykolwiek w życiu, i to przez kobietę, która szybko doprowadzała go do szaleństwa.

Elise weszła do damskiej szatni na chwiejących się nogach. Cole Yardley był najbardziej aroganckim, nieznośnym facetem, jakiego w życiu spotkała. Ale całował niezrównanie.

Zdjęła kostium i weszła pod prysznic. Miała nadzieję, że ciepła woda zmyje wszystkie myśli o nim i o tym, co czuła, gdy Cole przycisnął ją do siebie.

- Zwariowałam - mruknęła. - Nie ma innego wytłumaczenia.

Jednak dwadzieścia minut później, gdy wyszła na taras, gdzie ustawiono grill, na wargach wciąż czuła łaskotanie i nie mogła się uspokoić.

- To z głodu - mruknęła do siebie.

Nie jadła śniadania, a minęło już południe. Hotelowa jadalnia, jak wszystko w mieście, była zamknięta na czas uroczystości. Jeśli nie zje tutaj, to pewnie innej możliwości nie znajdzie.

- Miło cię znowu widzieć, laluniu.

Na dźwięk ochryplego męskiego głosu Elise okryła się gęsią skórą. Odwróciła się, z trudem opanowując chęć ucieczki.

- Dzień dobry, panie Valente.

- Jadła już pani? - Patrzył na nią jak grzechotnik obserwujący ofiarę.

- Właśnie miałam zamiar coś zamówić.

Jego uśmiech sprawił, że poczuła potrzebę wzięcia kolejnego prysznica.

- Mam już stolik. Nalegam, żeby pani do mnie dołączyła.

- Nie, dziękuję. Mam sporo pracy - odparła i odwróciła się, by złożyć zamówienie. Miała nadzieję, że Valente zrozumie i zostawi ją w spokoju. - Może być na wynos? - spytała chłopaka za ladą.

Valente chwycił ją za łokieć i szarpnięciem odciągnął

od stoiska. Elise skrzywiła się. Ścisnął ją mocno, a jego uśmiech zmienił się w ponury grymas.

- Nalegam, laluniu. Nieładnie olewać kogoś, kto pomaga w śledztwie.

Elise poczuła lekki niepokój. Ale w takim tłumie chyba nie będzie niebezpieczny.

- Panie Valente, powiedziałam, że nie mam czasu - oznajmiła stanowczo. - A teraz przepraszam, ale chciałabym zabrać swoje jedzenie i pójść.

- Proszę zamienić na dwie porcje na miejscu - usłyszała głos Cole'a. Podszedł do niej i kiwnął głową mężczyźnie ścisnącemu jej ramię. - Witaj, Valente.

John Valente nie wydawał się zachwycony widokiem Cole'a.

- Właśnie zapraszałem pannę Campbell na obiad, Yardley - oznajmił, rozluźniając bolesny uścisk.

- Spóźniłeś się, niestety. Umówiliśmy się tu z Elise po basenie.

Kiedy Cole objął ją ramieniem i pocałował szybko, nawet nie zaprotestowała. John Valente ją przerażał i niezależnie od tego, co opowiadała Cole'owi o swoich umiejętnościach z zakresu samoobrony, nie zamierzała chwalić się nimi na oczach całego Mission Creek.

- Wybacz, że musiałaś czekać, skarbie. Znajdź nam jakiś stolik, a ja zaczekam na jedzenie.

Cole'owi ulżyło, gdy Elise nie sprzeczała się, tylko ruszyła w stronę stolików rozstawionych na trawie pod dębem.

- Muszę cię ostrzec, Valente - powiedział, śledząc ją wzrokiem. - Nie podoba mi się, że zawracasz głowę

mojej pani. - Poczł przypłył furii na samą myśl o rękach gangstera na delikatnej skórze Elise. - Lepiej, żeby to się więcej nie zdarzyło. Bo inaczej przekonasz się, jakim potrafię być wrednym typem, jeśli mi ktoś zawadza.

- I nawzajem, Yardley - wycedził Valente na odchodnym.

Cole patrzył, jak gangster znika w budynku klubu. W tej chwili z największą przyjemnością walnąłby pięścią w tę paskudną gębę, żeby udowodnić, iż mówił poważnie.

Dwójka nastolatków podała Cole'owi pojemniki z jedzeniem. Odwrócił się i odkrył, że przy stoliku Elise siedzi Ricky Mercado. Dlaczego ludzi Mercadów tak do niej ciągnęło? De razy Cole się odwrócił, zaraz któryś do niej uderzał.

- Chyba cię nie posiniaczył, Elise - usłyszał słowa Mercado, kiedy podszedł do stolika. To, że mówił do niej po imieniu, wcale mu się nie spodobało, ani to, że dotykał jej ręki.

- Mam nadzieję, że nie narobił jej siniaków - Cole postawił pojemniki na stoliku i usiadł przy niej, by obejrzeć jej przedramiona. - Bo ja też mu zrobię parę takich, które długo nie zejdą.

- Nic mi nie jest - zapewniła Elise trochę drżącym głosem. - Po prostu zaskoczył mnie i tyle. - Zerknęła na Mercado. - Zawsze się tak zachowuje?

Mercado wzruszył ramionami.

- John Valente nie lubi słowa „nie”. A już zwłaszcza w ustach kobiet.

- No to niech polubi - oznajmił Cole, pieszcząc aksamitną skórę Elise. Na samą myśl, że ktoś miałby ją posiniaczyć, czuł kłucie w żołądku.

- Mówisz, jakbyś o nim wiedział coś, czego my nie wiemy - powiedziała Elise.

Mercado milczał kilka chwil, jakby się zastanawiał, ile ma im powiedzieć. Cole obserwował go uważnie.

- To osobiste sprawy - oznajmił w końcu, wstając. - Powiedzmy, że nigdy nie zgadzałem się z jego sposobem traktowania kobiet i to wystarczy. - Uśmiechnął się do Elise tak, że Cole zazgrzytał zębami. - Ale ze mną kobiety są bezpieczne. Wiem, jak traktować damę.

Z tymi słowami Mercado zniknął w tłumie. Cole był wściekły.

Kiedy Ricky wszedł do budynku, by zamówić piwo, zauważył Johna Valentego siedzącego przy stole z paroma mężczyznami. Wcale się nie zdziwił, słysząc, że Yalente niezbyt delikatnie potraktował agentkę Campbell. Nie słynał bynajmniej z taktu ani zdolności do dyplomacji. Poza tym Ricky już wcześniej widział jego bezceremonialne obchodzenie się z kobietami i wcale mu się ono nie podobało.

Ricky dostrzegł, że z Johnem siedzą Benito Pascal, dyrektor Mercado Trucking, i Mannie Ferrar, szef Superior Produce. Wszyscy byli zatopieni w rozmowie i jasne było, że chodzi im o interesy. Benito i Mannie nie wyglądali na niezadowolonych. Dziwne. Ricky wiedział z całą pewnością, że obaj serdecznie nie cierpią nowego szefa rodziny Mercado.

Między innymi dlatego, że John nigdy nie ukrywał, iż chciałby ich obu wysłać na emeryturę. Żadna z firm nie przynosiła ogromnych dochodów, a tylko takie interesowały Valentego. Carmine nic nie obchodziło, jak jego dwaj przyjaciele zarządzają firmami, byle dostawał swoją działkę. Ricky zastanawiał się czasem, czy Benito i Manny nie zostali tylko po to, by denerwować Johna, który był obecnie głową rodziny.

Dlaczego więc teraz wydawali się tacy zaprzyjaźnieni? Co się takiego działo, że musieli gadać o interesach w weekend, który całe Mission Creek uznawało za święto?

Ricky nie był pewien, ale zamierzał popytać i dowiedzieć się. Może to był trop, który pozwoliłby mu oczyścić się w oczach agentów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Elise grzebała w jedzeniu plastikowym widelczykiem. Nie była pewna, czy brak apetytu wynikał ze spotkania z Johnem Valente, własnej nieudolności w pozbyciu się go, czy też z faktu, że Cole znowu stanął w jej obronie.

- Mam nadzieję, że nie martwisz się natarczywością Valentego - powiedział Cole, popijając piwo. - Mam nadzieję, że nie będzie ci już zwracał głowy.

Poczuła niepokój, widząc na jego twarzy ogromne zadowolenie.

- Dlaczego?

- Valente i ja osiągnęliśmy porozumienie - wyjaśnił, pewny siebie.

Jej policzki zapłonęły, a w miejsce niepokoju pojawiła się złość. Zmrużyła oczy.

- Co mu powiedziałeś?

Cole wzruszył ramionami i zapatrzył się w przestrzeń.

- Powiedziałem, żeby cię zostawił w spokoju, albo będzie miał ze mną do czynienia.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Pokręciła głową, walcząc z chęcią przyłożenia mu z całej siły. - Sama bym

sobie z nim poradziła. Ale ty musiałeś odegrać jaskiniowca i uratować kobietę będącą w opałach.

- Elise, o czym ty, do cholery, mówisz? - wydawał się naprawdę zaskoczony. - Zrobiłem to samo, co każdy normalny facet by zrobił, kiedy jakiś cham bez żadnych manier narzuca się kobiecie.

Elise musiała odliczyć do dwudziestu, zanim była w stanie wytłumaczyć coś, co najwyraźniej było poza możliwościami umysłu Cole'a Jaskiniowca.

- Owszem, powiedziałaś coś Johnowi Valentemu. Powiedziałaś mu, jak bardzo, twoim zdaniem, jestem niekompetentna jako agentka.

Zdębiał.

- A to dlaczego?

- Bo zamiast pomóc mi zachować autorytet agentki federalnej, kazałeś mi zostawić mnie w spokoju, jakbym była jakaś bezradna kobietka. - Wstała. - Potrafię staczać swoje własne bitwy i będę wdzięczna, jeśli odąd będziesz o tym pamiętał, jaskiniowcu.

Była tak zła, że prawie się rozpłakała. Pobiegnęła do klubu po swoją torbę. -Postanowiła wrócić do hotelu, skończyć audyt i znaleźć związek - który, była pewna, że istnieje - między Mercado Trucking, Superior Produce i przemysłem broni, a tym samym udowodnić Cole'owi Yardleyowi, że jest znakomita w pracy.

Jednak kiedy wyszła z damskiej szatni, czekał na nią.

- Elise, musimy porozmawiać.

- Wcale nie musimy.

- Cholera, mówię, że tak - nalegał, biorąc ją za rękę.

Pozwoliła poprowadzić się na wielką werandę od

frontu budynku. Nie miała zamiaru wywołać sceny, po której mieszkańcy Mission Creek gadaliby o wojnie między agentami federalnymi prowadzącymi śledztwo w ich uroczym mieście.

Gdy tylko dotarli do drzwi, uwolniła dłoń.

- Już ci wyjaśniłam, co myślę o twojej interwencji. Nie rozumiem, o czym chcesz dyskutować.

Odebrał jej torbę, postawił na ziemi i, zanim zdążyła go powstrzymać, chwycił ją w ramiona.

- Chcę, żebyś wysłuchała mojej opinii.

- Ale...

Położył palec na jej wargach.

- Czy możesz raz w życiu się nie kłócić i posłuchać?

Będąc w jego ramionach, patrząc w szczere orzechowe oczy, pokiwała głową.

- Masz pięć minut, Yardley.

- Wystarczy. - Na chwilę spojrział w stronę nieba, a potem znowu jej w oczy.

- No i? - ponagliła go, gdy się zawahał.

- Campbell, daj mi chwilę. To nie jest takie łatwe.

- Wziął głęboki oddech. - To, że przyszedłem odpędzić od ciebie Valentego nie ma nic wspólnego z twoimi kompetencjami jako agentki federalnej, ani ze sprawą, nad którą pracujemy.

- No to o co chodziło?

Jego wargi zacisnęły się w wąską linię.

- Nie chcę, żeby cię dotykał inny mężczyzna.

Straciła dech. To była ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć.

- Czy... możesz wyjaśnić, o co ci chodzi?

- Sam nie wiem, czy to rozumiem - przyznał. - Nigdy mi się nic takiego nie zdarzyło. - Puścił ją i potarł dłonią kark. - I nie jestem całkiem pewien, czy mi się to podoba. Ale na samą myśl, że inny facet miałby cię dotykać, dostaję szału.

- Ależ ty mnie nawet nie lubisz.

- Nigdy tego nie mówiłem. - Roześmiał się ponuro. - Problem w tym, że zaczynam cię lubić za bardzo. - Cole wiedział, że robi z siebie idiotę, ale nie mógł przestać, ani zebrać myśli na tyle, by zacząć mówić z sensem. - Wiem tylko, że kiedy zobaczyłem, jak Valente łapie cię za ramię, chciałem go rozerwać na strzępy.

- Ja... nie wiem, co powiedzieć - Elise wyglądała na równie zaskoczoną co on.

- Witaj w klubie, skarbie. - Spojrzał w jej zielone oczy i zrobiło mu się ciepło na sercu. - Przepraszam, jeśli pomyślałaś, że uważam cię za niekompetentną, ale nie o to chodziło. - Zamknął usta, by nie wyjść na jeszcze większego idiotę. - Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że nie chodziło o to, czy nadajesz się na agentkę FBI.

- Dziękuję - powiedziała raczej niepewnie. - Dziękuję ci za szczerość. - Patrzyła na niego przez kilka długich sekund, po czym pochyliła się po torbę. - Naprawdę muszę... wracać do pracy.

Skinął głową, wciąż niezdecydowany, czy ją teraz pocałować, czy odwrócić się i uciekać jak najszybciej. Zamiast tego stał jak wrośnięty w ziemię.

- Uważaj na siebie, Campbell.

Skinęła głową i ruszyła po schodkach.

Cole patrzył za nią, jak idzie przez parking, by upewnić się, że wsiądzie do samochodu i nie będzie napastowana przez Valentego. Potem powoli poszedł z powrotem do budynku.

- Yardley! Wyglądasz, jakbyś stracił najlepszego przyjaciela.

- Daj spokój, Mercado. Nie mam nastroju.

Mężczyzna patrzył na niego z namysłem.

- Mieliście z piękną damą jakąś kłótnię?

- Agentka Campbell i ja pracujemy razem - oznajmił Cole. Nie zamierzał nikomu mówić nic więcej.

- Czyli nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zaproszę ją na wieczór na pokaz ogni sztucznych? Po zmroku - dodał Mercado, szczerząc zęby.

- Zostaw Elise w spokoju - warknął Cole zanim zdążył się powstrzymać.

- Czyli nazywają ją Elise, co? - roześmiał się Mercado. - Strasznie jesteś zaborczy wobec agentki specjalnej Campbell. Jesteś pewien, że to nie twoja dziewczyna?

- Pilnuj swoich spraw, Mercado - warknął Cole i ruszył do wyjścia.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie, Yardley - zawołał za nim Mercado.

Cole odwrócił się do niego i pokręcił głową.

- Tylko spróbuj, a wylądujesz w więzieniu i nawet nie będziesz wiedział, kiedy.

Mercado odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się jak jakaś głupia hiena, doprowadzając Cole'a do jeszcze większej wściekłości.

Bez dalszego słowa okręcił się i wmaszerował prosto do baru. Potrzebował trochę ciszy i spokoju, paru pušek piwa i czasu na przemyślenia. W przeciwnym wypadku zaraz po powrocie do Vegas będzie musiał odwiedzić psychologa ATF, by dojść, co się z nim właściwie dzieje.

Elise siedziała na środku koca pod czystym teksańskim niebem, przyglądając się jak wieczór zmienia się w noc. Wszyscy mieszkańcy Mission Creek byli teraz na trawniku klubu golfowego, czekając na doroczny pokaz ogni sztucznych.

Po spotkaniu z Johnem Valente i niepokojącym wyznaniu Cole'a wróciła do hotelu i spędziła resztę dnia i większą część wieczoru na rozmyślanii o tych wydarzeniach. Cole pewnie miał rację - nie umiała sobie radzić z takimi mężczyznami jak John Valente. Pracowała przeważnie za biurkiem. Rzadko wyjeżdżała w teren. Przeszła takie samo szkolenie jak każdy agent FBI, ale nie miała dość okazji, by doskonalić umiejętności.

Wyznanie Cole'a nie dawało się skoncentrować na szukaniu dowodów, które musiały gdzieś istnieć i łączyć Mercadów z przemysłem.

Z jednej strony miło było wiedzieć, że Cole też o niej myśli wcale nie w związku z pracą. Ale z drugiej, uparcie trzymała się zasady, że ludzie pracujący razem nie powinni romansować ze sobą.

Technicznie rzecz biorąc to ona nie pracowała z Cole'em. On był agentem ATF, ona FBI. Jego centrala znajdowała się w Las Vegas, ona miała przydział do

biura w Wirginii. Nawet nie współpracowali w sprawie Mercadów. Powiedział, że pracuje sam i nie ma w zwyczaju dzielić się informacjami. I, jak na razie, był konsekwentny. Nie pisał ani słówka.

Ale to było dzielenie włosa na czworo. Oboje mieli przydzielony do tej samej sprawy, nawet jeśli pracowali nad nią osobno. I trzeba było pamiętać, że zdarzało im się pracować nad wspólnymi sprawami i mogło się to w przyszłości powtarzać.

Niestety, najważniejszy powód, dla którego nie mogła wiązać się z Cole'em, nie miał nic wspólnego z pracą, a wszystko z obawą przed zranieniem. Przeczynała, że jeśli nie będzie uważać, może się zakochać po uszy.

- Mogę dołączyć?

Podniosła oczy, słysząc głos Cole'a. Dlaczego jej serce zaczęło walić jakby przed chwilą skończyła maraton? Patrząc na niego, zagryzła dolną wargę. Doskonale wiedziała, dlaczego jej serce bije jak szalone, a wszystkie nerwy nagle ożyły. Już się zakochała w Cole ^ Jaskiniowcu.

- Elise, nic ci nie jest? - spytał, kucając przy niej.

Może i nic by jej nie było, gdyby nie zrobił tej jednej rzeczy, która sprawiała, że topiła się jak wosk i nie miała siły walczyć - nie położył delikatnie dłoni na jej policzku.

Nie mogła wydobyć z siebie głosu, ale skinęła głową z nadzieją, że jej twarz nie zdradza burzy uczuć, jąkająco ogarnęła.

- Jesteś pewna? - spytał zaniepokojony.

- T-tak, wszystko w porządku.

- Mogę popatrzeć z tobą na fajerwerki? - zapytał znowu.

Powinna wstać, zabrać pożyczony koc i uciekać. Zamiast tego pokiwała głową.

- Cole, musimy porozmawiać o tym, co...

- Nie teraz - przerwał, siadając za nią i wciągając ją między swoje kolana, aż oparła się o jego pierś. Objęły ją silne ramiona. Rozejrzała się po siedzącej na trawniku publiczności. Nigdzie nie widziała Johna Valentego, ale było ciemno.

- To na użytek Valentego?

- Nie - szepnął jej do ucha. Dostała gęsiej skórki od jego ciepłego oddechu. - Zdecydowałem, że mamy dzisiaj wolne. Nie ma agenta Yardleya i agentki specjalnej Campbell. Tylko Cole i Elise.

- Zwariowałeś. Powinniśmy...

- Ciii - pocałował jej skroń. - Potem porozmawiamy. Zaraz się zacznie,

Rozległ się huk, po czym niebo rozświetliła eksplozja kolorowych gwiazd - rozpoczął się pokaz. Zapadła cisza, a w górze błyskały coraz to nowe kolorowe światła. Tylko czasami słychać było okrzyk jakiegoś podekscytowanego dziecka.

Podczas pokaz był rzeczywiście niezwykły, ale Elise ledwo go zauważyła. Pochłonęły ją myśli o tym, co robi Cole i jak ona to odbiera. Nagle przestała ją interesować rodzina Mercado, przemyt broni i fakt, że właśnie łamie swoją główną zasadę.

W górę pomknęła żółto-niebieska wstęga, która po chwili rozbłysła w świetlną kulę. Cole przyciągnął Elise

bliżej i wsunął ręce pod jej bluzkę. Pogładził jej brzuch, w potem przesunął ręce na piersi. Niemal przestała oddychać.

- Co... co ty robisz? - zapytała jak najciszej, by nikt nie usłyszał.

- Cicho, skarbie. Oglądaj pokaz.

- Gdyby ktoś spojrział, wyszłoby na to, że to my robimy pokaz.

Zaśmiał się cicho.

- Nikt na nas nie patrzy. A poza tym nic mnie to nie obchodzi.

Rozpiął jej zapinany z przodu stanik. Kiedy przesunął kciukami po stwardniałych sutkach, jej serce zamarło.

Zamknęła oczy i oparła głowę o jego ramię. Nie była w stanie powstrzymać cichego jęku.

- Podoba ci się, skarbie? - szepnął.

Skinęła głową.

- Nie powinieneś tego robić.

- Mam przestać?

- Tak - powiedziała, ale zdradziło ją westchnienie.

Delikatnie przycisnął jej sutki palcami.

- Jesteś pewna?

- Nie. To znaczy... tak. - W ogóle nie mogła myśleć.

Siedziała między jego nogami, więc poczuła dokładnie, w której chwili jego ciało zaczęło się zmieniać pod wpływem tego samego napięcia, które ona czuła.

Zatraciła się w doznaniach, które Cole powodował, więc była zaskoczona, gdy nagłe wyjął ręce spod jej

bluzki i obrócił ją w swoich ramionach. Przesunął jej nogi nad jedną ze swoich, przytulił ją i przyglądał się jej przez chwilę, zanim ją pocałował.

Uniosła się, by odwzajemnić pocałunek, objęła go za szyję i całkowicie się mu poddała. Gdyby mogła myśleć, byłaby zaszokowana swoją entuzjastyczną reakcją. Ale w tej chwili jej umysł przestał pracować. Chciała tylko czuć bliskość Cole'a.

Pod wpływem reakcji Elise krew w żyłach Cole'a popłynęła szybciej. Pragnął jej z taką siłą, że jego samego to zaskoczyło. Chciał połączyć ich ciała, ale jeszcze bardziej chciał połączyć ich dusze - by uczynić Elise swoją raz na zawsze.

Powinno go to śmiertelnie przerazić. Jednak gdy trzymał w ramionach jej delikatne ciało, czuł smak jej słodkich warg, czuł się tak, jakby mógł przenosić góry.

Podniósł głowę, by na nią popatrzeć i uśmiechnął się.

- Uwierz mi, skarbie, pragnę cię tak bardzo, że nie mogę myśleć.

Kolejny gwiazdzisty rozbłysk oświetlił jej uroczą twarz. Pożądanie nadało barwy porcelanowym policzkom, a w zielonych oczach widać było ogromne pragnienie. Jego serce waliło jak młot.

- Wracajmy do hotelu - powiedział nagle.

Patrzyła na niego chyba przez całą wieczność, zanim powoli skinęła głową.

Cole wstał i wyciągnął rękę, by jej pomóc. Gdy zaczęła składać koc, odebrał jej go, zwinął i wziął pod pachę. Chwycił ją za rękę i poprowadził przez labirynt ludzi siedzących na kocach i krzesłach.

Kiedy dotarli do jej samochodu, przyciągnął ją i pocałował szybko.

- Pojadę za tobą.

Począł, aż zamknęła drzwiczki, po czym pobiegł do swojego samochodu. Sporo przemyślał, gdy się rozstali po południu i stwierdził, że ma wybór. Mógł próbować zignorować istniejące między nimi przyciąganie i szybko oszaleć. Albo mógł mu się poddać, cieszyć się czasem, jaki spędzą wspólnie w Mission Creek, a o swoje zdrowie psychiczne martwić się po powrocie do Vegas.

I kto wie, co się może wydarzyć? Zawsze była możliwość, że po powrocie do swoich biur raz na jakiś czas spędzą razem weekend.

Na hotelowym parkingu zaparkował obok samochodu Elise i podszedł, by pomóc jej wysiąść. Jak tylko otworzyła drzwiczki wiedział, że zaczęła mieć wątpliwości.

- Cole, chyba nie byłoby mądrze, gdybyśmy poszli do łóżka - oznajmiła bez wstępow.

Odetchnął głęboko parę razy i pogodził się z myślą o zimnym prysznicu i pustym łóżku. Skinął głową i położył dłoń na jej plecach, by poprowadzić ją do drzwi.

- Pewnie masz rację.

Milczeli, jadąc windą na drugie piętro.

Gdy zatrzymali się przed drzwiami Elise, uśmiechnęła się smutno.

- Skomplikowalibyśmy tylko sprawy, które na razie były względnie proste.

Nie był pewien, czy usiłowała przekonać jego, czy siebie. Włożył ręce do kieszeni dżinsów, by nie dotknąć jej.

- Zgadzam się w zupełności.

Patrzyła na niego przez chwilę zanim otworzyła drzwi.

- No to... dobranoc.

- Dobranoc — odpowiedział, idąc do drzwi swojego pokoju.

Niczego bardziej nie pragnął, jak chwycić ją w ramiona i całować do utraty zmysłów, sprawić, by pragnęła go tak bardzo, jak on wciąż pragnął jej. Ale to byłoby błąd. Rano żałowałyby wszystkiego.

Wszedł do siebie i przez kilka długich sekund patrzył na drzwi między ich pokojami. Ciało Elise usiłowało jej powiedzieć, że była gotowa na zrobienie z nim kolejnego kroku, jednak umysł nie pogodził się jeszcze z tym, co Cole uważał za nieuniknione.

Nie chodziło o to, czy będą się kochać, a tylko o to, kiedy.

Elise zakryła oczy i usiłowała myśleć o swojej głównej zasadzie. Nie będziesz się umawiać z kolegą z pracy.

Jeśli powtórzy to zdanie wystarczającą ilość razy, może przypomni sobie, po co właściwie przyjęła ową zasadę i dlaczego była ona taka ważna. W tej chwili nie potrafiła znaleźć ani jednej przyczyny, dla której postanowiła kierować się taką filozofią.

Cole pragnął jej, a ona jego tak mocno, że ledwo

mogła oddychać. Wystarczyło, żeby otworzyła drzwi między pokojami i...

Jęknęła, odrzuciła prześcieradło, usiadła na brzegu łóżka i głęboko oddychała, by się uspokoić. Nie mogła spać przez Cole'a Jaskiniowca. A przecież wystarczyło, by spędzili pięć minut w jednym pokoju, żeby zaczęli się kłócić.

Teraz usiłowała rozszyfrować swoje sprzeczne emocje. Przypomniała sobie jego pocałunek i dłonie błądzące po jej ciele. Miała wrażenie, że tonie. I wtedy zrozumiała. Czyżby to przyciąganie istniało między nimi od zawsze?

Zagubiona w tych niepokojących domysłach, podskoczyła, gdy otworzyły się drzwi łączące ich pokoje.

- Też nie możesz spać? - spytał Cole, podchodząc do niej.

Widok jego w samych tylko bokserkach podziałał na nią błyskawicznie.

- Ja... ja... - Musiała przerwać, by oderwać myśli od tego cudownego ciała i skupić się na pytaniu. - Jakoś nie.

Pokręcił głową.

- Ja też nie. Nie mogę zapomnieć twoich pocałunków. - Potarł dłonią kark i popatrzył na nią. - To szaleństwo, ale pragnę cię bardziej niż jakiegokolwiek kobiety w życiu.

Jej serce zamarło na te słowa.

- Zgadzam się. To kompletne szaleństwo.

- To każ mi dać ci spokój i wynosić się stąd.

Czy tego naprawdę chciała? Kazać mu się wynosić?

Wstała i wzięła głęboki oddech.

- Nie mogę, Cole.

Słyszała, jak gwałtownie wciągnął powietrze, widziała, jak ciemnieją orzechowe oczy.

- Dlaczego, Elise? Dlaczego nie możesz kazać mi odejść?

Miała wrażenie, że zamierza skoczyć w przepaść, nie wiedząc, co czeka w dole. Ale nie mogła o tym myśleć. Wiedziała tylko, że nigdy nie pragnęła niczego bardziej niż objąć Cole'a.

- Nie mogę kazać ci odejść, bo nie mam siły - powiedziała cicho. - Nie potrafię dłużej walczyć. Kochaj się ze mną, Cole, proszę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Jesteś pewna? - spytał Cole, nie do końca przekonany, czy chce usłyszeć odpowiedź. Gdyby zaprzeczyła, to pewnie w Mission Creek zabrakłoby wody na ten zimny prysznic, który byłby mu potrzebny.

Od jej uśmiechu zakręciło mu się w głowie.

- Tylko tego jestem pewna.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował, pozbawiając oboje tchu.

- Chodźmy do mojego pokoju, skarbie - powiedział, biorąc ją na ręce. Objęła go i popatrzyła ze zdziwieniem.

- Dlaczego mnie niesiesz?

- Bo taki jest zwyczaj jaskiniowców - oznajmił.

- Sądziłam, że ciągnęli kobiety za włosy. - Uśmiechnęła się. Był zachwycony małutkimi dołeczkami, które przy uśmiechu pojawiały się na jej policzkach.

- Masz za krótkie włosy. - Postawił ją przy swoim łóżku i wplótł palce w delikatne kasztanowe loki. - I za miękkie, i za śliczne. - Uśmiechnął się. - Poza tym nigdy w życiu nie chciałybym cię skrzywdzić, Elise.

Pocałował ją w czoło i w czubek nosa, zanim dotarł do ust. Były miękkie, wilgotne i słodkie.

- Chcę cię całą wycałować, skarbie - powiedział

ochryple. Delikatnie skubał wargami jej szyję i obojczyk, rozpinając nocną koszulę.

Kiedy rozsunał atłas, stracił niemal oddech.

- Jesteś doskonała.

Objął dłońmi jej piersi, przesunął kciukami po twardych koniuszkach, patrzył, jak Elise zamyka oczy i odchyła głowę.

- Podoba ci się, skarbie?

Otworzyła oczy. Pożądanie w jej spojrzeniu sprawiło, że zaschło mu w ustach.

- Uwielbiam, kiedy mnie pieścisz. - Z uśmiechem przesunęła dłońmi po jego ramionach i piersi. - Chciałam to zrobić, odkąd zobaczyłam cię rano w basenie.

Pod wpływem jej delikatnego dotyku mięśnie Cole'a na brzuchu i poniżej napięły się mocno.

- Nie masz pojęcia, jakie to miłe.

- Chyba mam - mruknęła, zerkając na jego bokserki. Zaśmiał się.

- Raczej trudno to ukryć, skarbie. - Zsunął koszulę z jej ramion i odsunął się, by popatrzeć. Kiedy spojrzął w końcu w jej oczy, miał wrażenie, że brakło w nich pewności. Wzruszyło go to. - Jesteś piękna, Elise.

- Ty też - odpowiedziała, kładąc miękką dłoń na jego policzku.

Wziął ją w ramiona. Przesunęła rękami po jego plecach i bokach, powiodła palcami po gumce bokserek. Serce Cole'a waliło tak mocno, że nie zdziwiłby się, gdyby wyskoczyło mu z piersi.

- Może się położmy, bo za chwilę upadnę - wymruzczał, opuszczając ją na materac. - Zaraz wrócę.

Wrócił z łazienki z zabezpieczeniem, wsunął foliowy pakiecik pod poduszkę i położył się przy niej. Oparł się na łokciu i pochylił, by pocałować, okazując uczucia, które go przepełniały, chociaż nie umiał ich nazwać.

Elise objęła Cole'a za szyję i poddała się cudownemu pocałunkowi. Dzisiaj zapomni, że jest agentką FBI, a Cole agentem ATF. Dzisiaj w nocy byli po prostu mężczyzną i kobietą, badającymi wzajemnie przyciąganie, którego nie dało się już ignorować.

Powoli zsunął rękę z jej piersi do kolana i przesunął z powrotem, po wewnętrznej stronie uda. Zadrżała z podniecenia, gdy wsunął palce pod majteczki.

Chciała poznać jego ciało tak samo jak on badał jej. Dotknęła potężnych mięśni karku, szerokich ramion. Zadrżał, gdy przesunęła palcami po jego plecach aż do gumki bokserów. A gdy wsunęła palce dalej, by zbadać twardość pośladków, jęknął z rozkoszy.

- Zabijesz mnie - powiedział. Sam wsunął palce pod gumkę jej majteczek. Uniosła się trochę, a on zsunął je, po czym podniósł się, by pozwolić jej na to samo.

Obsypywał drobnymi pocałunkami jej piersi, a jednocześnie przesunął rękę niżej i dotknął kępki włosów u zbiegu ud. Wciągnął do ust jeden z napiętych sutków i w tej samej chwili sięgnął dalej. Elise myślała, że spłonie od tych doznań. Objęła jego twardą męskość. Jęknął cicho.

- Skarbie, dałbym wszystko, żebyś nie przestawała - powiedział, uśmiechając się do niej. Jednak gdy pieściła go dalej, zamknął oczy, a uśmiech zniknął z twa-

rzy. Chwył jej rękę. - Może to jednak nie taki dobry pomysł.

- Myślałam, że mam nie przestawać - mruknęła, zastanawiając się, czy ten gardłowy głos naprawdę należy do niej.

Wtedy on też przesunął rękę niżej i wsunął palec do jej wnętrza. Natychmiast stała się bezwolna i nie była w stanie powstrzymać jęku rozkoszy.

- Cole, ja...

- Powiedz mi, czego chcesz, skarbie.

- C-ciebie.

Pocałował ją tak czule, że poczuła łyzy w oczach i sięgnął pod poduszkę po foliowy pakiecik. Gdy zadbał o zabezpieczenie, wziął ją w ramiona, rozsunął kolanem jej nogi i zagarnął ją pod siebie.

Jej ciało powitało go z radością. Jego orzechowe oczy pociemniały jak czekolada.

- Cudownie, skarbie. - Czuła, jak przeszył go dreszcz. - Chyba nie mogę czekać dłużej - dodał. - Czy wszystko... w porządku?

- Cudownie - odpowiedziała, obejmując go.

Narzucił powolny, leniwy rytm i po chwili musiała zagryzać wargi, by nie krzyknąć. Cole okazywał jej tyle troski.

Przyspieszył ruchy i Elise czuła, jak zbliża się do szczytu. Przywarła do niego jak najmocniej. Nigdy jeszcze fizyczna miłość nie była tak wszechogarniająca, nie sięgała samej duszy.

Szczyt był niesamowity. Niemal natychmiast Cole zeszytniał i poddał się własnemu orgazmowi. Kiedy

burza ucichła, opadł na nią i wtulił twarz w jej szyć. Przytuliła go mocno, rozkoszując się ciężarem jego ciała, promieniującym z niego ciepłem. Nie mogła temu dłużej zaprzeczać - zakochała się w Cole'u.

- Jestem za ciężki.

- Nie - odparła, usiłując powstrzymać łzy. Najwyraźniej usłyszał drzenie w jej głosie.

- Co się stało? - spytał, podnosząc się na łokciach.

- Zrobiłem ci krzywdę?

Zaniepokojenie na jego twarzy, troska w głosie, wszystko to sprawiło, że jedna łza popłynęła jej po policzku.

- Nie.

- No to co się stało, skarbie? - Delikatnie odgarnął jeden lok z jej czoła. - Elise, powiedz mi.

Z trudem przełknęła kulę z gardle i uśmiechnęła się do niego słabo.

- To było piękne.

Pokręcił głową.

- Zgadza się, że było nieźle, ale za bardzo się pośpieszyłem. - Pocałował ją w czubek nosa. - Obiecuję, że następny raz będzie jeszcze lepszy.

Z uśmiechem obrócił się na bok. Jego zadowolenie natychmiast zniknęło i usiadł gwałtownie.

- Cholera jasna!

Zaniepokojona Elise usiadła i owinęła się prześcieradłem.

- Nic ci nie jest?

- No... możemy mieć problem - powiedział z wahaniem..

Poczuła dreszcz niepokoju na widok jego miny.

- Co się stało?

- Prezerwatywa pękła. - Zamknął powieki i odetchnął głęboko. Potem spojrzał jej prosto w oczy. - Powiedz, że bierzesz pigułki.

- N-nie. Nie było powodu. Nie byłam z nikim od...
- urwała.

- Od kiedy?

Poczuła, jak płoną jej policzki. Nie wyobrażała sobie, że po najbardziej niesamowitym doświadczeniu życia mogłaby odpowiadać na pytania dotyczące swojego życia miłosnego, czy, dokładniej, jego braku.

- Obawiam się, że nie mam dużo... doświadczenia. Ja... nie byłam z nikim od czasu studiów.

Dotarło do niej, że sytuacja jest poważna i zagryzła dolną wargę, żeby nie drżała. A jeśli zaszła w ciążę?

Musiał zauważyć jej niepokój, bo chwycił ją w ramiona.

- Skarbie, wybacz! Nie chciałem, żeby to zabrzmiało jak przesłuchanie. - Pocałował ją w czubek głowy, tuląc do siebie. - Pytałem tylko, bo gdybyś zaszła w ciążę, to bez żadnych wątpliwości ja byłbym ojcem.

- Jestem prawie pewna, że szanse są niewielkie. - Oby.

- Pewnie masz rację. - Puścił ją i ujął dłońmi jej twarz. - Ale musisz wiedzieć, że jeśli zajdziesz w ciążę, razem przez to przejdziemy. Będę przy tobie przez cały czas.

Widziała szczerłość w jego spojrzeniu i nie wątpiła,

że mówi prawdę. Teraz. Ale co z codziennością opieki nad dzieckiem? Finanse to jedno, ale czy byłby przy niej, gdyby trzeba było decydować w wypadku chorób, szkoły, dyscypliny? Czy sama musiałaby radzić sobie z macierzyństwem i z pracą?

Zamknęła oczy, bo zakręciło jej się w głowie. Nie miało sensu zastanawiać się nad czymś, co prawdopodobnie było nieistotne.

- Możesz mi podać koszulę? - spytała.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Po co?

- Chyba będzie lepiej, jeśli wrócę do siebie.

- Nie sądzę. - Nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

- Dlaczego?

- Nie powinnaś być teraz sama. Będziesz się tylko zamartwiać całą noc. - Posadził ją sobie na kolanach i pogładził palcem po policzku. - Kochanie, teraz nie mamy na to wpływu. Nie ma sensu nad tym rozmyślać.

- Pocałował ją tak czułe, że zupełnie się odprężyła.

- Zostań ze mną.

Jego silne objęcia, delikatny dotyk, uspokajające słowa, sprawiły, że w ogóle nie miała ochoty się ruszać. Poza tym miał rację. Nie spałaby, myśląc o możliwych następstwach ich zbliżenia, a naprawdę chciała leżeć w jego ramionach.

- Ale jeśli mam spać w twoim łóżku, a i tak potrzebna mi koszula.

Pokręcił głową i rzucił jej przewrotny uśmiech,

- Wolę to, co masz na sobie teraz.

- Prześcieradło? - roześmiała się.
- Nie. Uśmiech.

Długo po tym jak Elise zasnęła, Cole leżał, tuląc ją do siebie. A jeśli zaszła z nim w ciążę? Czy był gotów na zostanie ojcem? Czy byłby dobrym rodzicem? Jak pozna, czy dobrze mu idzie?

Mógł czerpać doświadczenia tylko z własnego dzieciństwa, a ono nie było całkiem normalne. Wychowywał go żołnierz piechoty morskiej, wiecznie przenoszący się z miejsca na miejsce.

Ale jego ojciec starał się jak mógł i wpoił Cole'owi wartości, które przydały mu się przez te trzydzieści lat. Zawsze postępował zgodnie z prawem, służył swojemu krajowi z godnością i honorem, starał się być uczciwym, porządnym obywatelem. Czyż nie takie wartości należy przekazywać dzieciom?

Powinien być śmiertelnie przerażony. Jednak w sumie był dziwnie spokojny wobec możliwości, że Elise miałyby zająć w ciążę.

Spojrzał na jej głowę wspartą na jego ramieniu i zastanawiał się, co ona myślałaby o zostaniu matką jego dziecka. Czy cieszyłaby się z macierzyństwa?

Poruszyła się przez sen i wymruczała jego imię, a on poczuł ciepło, którego źródła nie umiał rozpoznać i bał się analizować. Czas da mu odpowiedzi na wszystkie pytania. Wystarczy poczekać.

Ziewnął, czując, że ogarnia go sen. Na razie skończy śledztwo i zaaresztuje człowieka odpowiedzialnego za przemyt broni do Mezcyai.

A każdej nocy, dopóki będą w Mission Creek, zajmie się najbardziej pociągającą kobietą, jaką znał.

Elise usiadła i przyjrzała się wydrukowi danych Mercado Trucking. Przewozili towary do Mezcayi dla firmy Superior Produce. To samo w sobie nie było dziwne. Mercado Trucking było największą firmą przewozową poza Corpus Christi, a Superior jedyną firmą ogrodniczą w obrębie trzech hrabstw.

Pozornie wszystko wydawało się w porządku. Jednak jej instynkt przebudził się na widok sum, które Superior Produce odpisywało sobie jako koszty zepsutych towarów. Dlaczego firma z uporem eksportuje produkty, jeśli trzy czwarte zdąży się zepsuć, zanim dotrze na miejsce?

To nie miało sensu, chyba że...

Elise uśmiechnęła się.

- Chyba znalazłam trop.

- Co takiego? - zawołał Cole przez otwarte drzwi między pokojami.

Przekonana, że wpadła na właściwy trop, zapisała cyfry widoczne na ekranie kalkulatora i wyłączyła go. Pracowała cały dzień i większość wieczoru. Potrzebna jej była przerwa.

Przeszła do pokoju Cole'a.

- Mówiłam do siebie.

Cole siedział na łożku, oparty o wezglowie. Poklepał materac.

- Myślałem, że może odkryłaś coś, co łączy broń i Mercadów.

- Myślisz, że ci powiem? - Roześmiała się.

Zawarli coś w rodzaju porozumienia i oddzielili swój związek od pracy. Nie dzielili się informacjami i wątpiła, by to nastąpiło. Ona skupiała się na dokumentach, a Cole na materialnych dowodach.

Kiedy usiadła obok niego, ujął ją za rękę.

- Może zamówimy coś do pokoju i spędzimy resztę wieczoru tutaj?

- Nie chcesz iść do klubu na festiwal? - spytała, rozgrzewając się pod jego spojrzeniem.

Pokręcił głową i przyciągnął ją do siebie.

- Spędziłem w klubie cały dzień, łażąc za Mercedem od pola golfowego do sali bilardowej, a potem na pokera. Mam dosyć tego miejsca na jakiś czas.

- Odkryłeś coś? - spytała, wiedząc, że i tak by jej nie powiedział.

- Tak - odparł, zaskakując ją.

- A co takiego?

- Odkryłem, jak bardzo za tobą tęsknię. - Pocałował ją w czoło. - Wciąż myślałem o ostatniej nocy i o tym, co ci obiecałem.

- Obiecałeś? - Czyżby chciał jej powiedzieć, że zmienił zdanie? Że jeśli zajdzie w ciążę, musi sobie radzić sama?

- Nie pamiętasz? - uśmiechnął się. - Powiedziałem ci, że następny raz będzie jeszcze lepszy? - Wsunął rękę pod jej koszulkę. - Nie zdążyłem ci pokazać.

Dotyk jego ciepłej dłoni na brzuchu sprawił, że całe jej ciało ożyło.

- Nie chcesz oglądać sztucznych ogni? Dzisiaj jest ostatni...

Pokręcił głową.

- Wolałbym zostać. Urządzimy sobie własne fajerverki.

Kiedy ją pocałował, Elise zapomniała o obchodach w klubie. Pod jej zamkniętymi powiekami tańczyły iskierki, a w żyłach pulsowało gorąco. Poczowała dotyk dłoni Cole'a na nagiej piersi, muśnięcie kciuka na stwardniałej sutce, iskrę pożądania zmieniającą się w płomień najgorętszego pragnienia.

Cole przerwał pocałunek, żeby ściągnąć Elise koszulkę, po czym przylgnął ustami do jej piersi. Ułożył Elise na materacu, a ona westchnęła cicho, gdy zaczął pieścić drugą pierś. Sprawianie jej rozkoszy było bardziej podniecające niż najlepszy afrodyzjak.

Pociągnęła go za koszulkę. Podniósł głowę.

- Nie zrobiłem ci krzywdy?

- Nie, ale nie wydaje ci się, że masz za dużo na sobie? - spytała.

- Może i masz rację - zaśmiał się. Wstał z łóżka i szybko pozbył się całego ubrania. - A teraz kto ma za dużo na sobie?

- Pewnie ja. - Obdarzyła go uśmiechem, który rozpalił go do czerwoności. - Co zamierzasz z tym zrobić?

- Daj mi minutkę, to ci pokażę - zapewnił, rozpinając jej obcięte dzinsy.

Patrząc jej w oczy, ściągnął jej szorty i majteczki. Pochylił się i przycisnął wargi do jej płaskiego brzucha.

- Skarbie, masz skórę jak aksamit.

Czuł drżenie w swoim głosie.

- Nie... powinieneś-jęknęła, kiedy przycisnął wargi do wewnętrznej strony jej uda.

- Dlaczego nie? - spytał, nie przerywając.

- Nikt nigdy...

- Ufasz mi, Elise?

Ku jego satysfakcji, nawet się nie zawahała.

- Tak.

- No to pozwól mi się kochać, skarbie.- I kiedy dał jej coś, czego nie dał jej żaden mężczyzna przedtem, wielką przyjemność sprawiły mu jej ciche jęki.

- P-proszę, Cole. - Poruszała się niespokojnie. - Już dłużej... nie wytrzymam.

Kiedy podniósł głowę, uznał, że chyba nigdy nie widział piękniejszego widoku niż rumieniec pożądania na jej porcelanowych policzkach, pragnienie w wyrazistych, zielonych oczach.

- Powiedz, mi, czego potrzebujesz.

- C-ciebie. Teraz!

Nagle ogarnęło go niepohamowane pragnienie, by znowu należała do niego. Otworzył szufladę w nocnym stoliku i zadbał o zabezpieczenie.

Niemal stracił dech na widok jej ciała, czekającego na niego i gotowego sprawić, by poczuł się, jakby odnalazł drugą połowę siebie. Cole zamknął na chwilę oczy, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. To ma być najpiękniejsza noc w jej życiu, niezależnie od tego, ile miało go to kosztować.

Chwycił Elise w ramiona i połączył ich ciała jednym ruchem. Nie ruszał się. Chciał, żeby to trwało jak najdłużej.

Ale kiedy owinęła długie nogi wokół jego bioder, by przyciągnąć go i zatrzymać, stracił resztki samokontroli. Ich ciała były idealnie dopasowane. Wkrótce poczuł, że ona zbliża się do kulminacji, której oboje pragnęli. Przyspieszył tempo i po chwili odczuł głęboką satysfakcję, słysząc jej krzyk rozkoszy.

Sam Cole nie pozostał za nią daleko w tyle. Miał wrażenie, że stali się jednym ciałem, jedną duszą, jednym umysłem.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego popołudnia Cole pojechał na zachodni kraniec Mission Creek, gdzie znajdowało się kilka pustych magazynów. Od paru dni miał zamiar rzucić na nie okiem, ale był zbyt zajęty przesłuchiowaniem pracowników klubu golfowego, którzy mieli dostęp do zabudowań, gdzie znaleziono broń.

Miał jednak przecucie, że broń podrzucono do klubu, by odwrócić uwagę od właściwego centrum operacyjnego. Teraz musiał tylko znaleźć dowody potwierdzające tę teorię.

Zaparkował przed magazynami, które wyglądały na nie używane od lat. Przeszedł się od jednego do drugiego. Wszystko wyglądało zwyczajnie. Przed drzwiami rosły dzikie krzaki, a w pierwszych dwóch budynkach powybijano okna. Jednak gdy obszedł drugi z nich, zamarł. Promień słońca odbijający się od podwójnych drzwi przyciągnął jego uwagę. Zadziałał instynkt śledczy. Metal był przerdzewiały, jednak wokół klamek owinięto najwyraźniej coś błyszczącego.

Gdy szedł od budynku do budynku, zwrócił uwagę na kilka rzeczy. Po pierwsze, na bitej drodze widać było ślady opon ciężarówki, i to wyraźnie, co sugerowało, że pojazd był wyładowany.

Potem obejrzał drzwi magazynu. Wokół klamek owinięto gruby łańcuch, który spięto wielką kłódką. Jedno i drugie było nowe. Dotknął czubkiem buta krzaka i odkrył, że rośliny przed wejściem położono, by wyglądały tak, jakby tu właśnie wyrosły.

Obszedł budynek, znajdując po drodze kilka niedopałków. Wyjął z kieszeni plastikową torebkę i ostrożnie zebrał do niej niedopałki. Wyśle je do laboratorium - może mają w aktach DNA osoby, która je wypaliła.

Miał wrażenie, że właśnie wpadł na pierwszy ważny ślad. Dałby głowę, że tu było centrum przemytniczych operacji.

Wrócił do samochodu po cyfrowy aparat i zrobił kilka zdjęć śladów opon, zamkniętych drzwi i całego magazynu. Teraz musiał tylko ustalić, kto jest właścicielem magazynów i zdobyć nakaz przeszukania budynków.

Jednak gdy jechał do domu, miał mieszane uczucia. Z jednej strony był przekonany, że jest o krok od rozwiązania sprawy. Ale z drugiej znaczyło to, że jego czas spędzony z Elise dobiegał końca.

Poczuł dziwne ściskanie w brzuchu na myśl, że nie będzie trzymać jej w ramionach każdej nocy, nie będzie widzieć jej ślicznej twarzy zaraz po przebudzeniu. Jak to się stało tak szybko? Czy naprawdę zaczęło się tydzień temu, kiedy zobaczył, jak John Valente łapie ją za ramię w klubie? A może dużo wcześniej?

Kiedy przed dwoma laty pracowali nad tą samą sprawą, uważał, że Elise jest śliczna, ma niesamowite nogi i piękny uśmiech. Ale wystarczyło, że spędzili trzy minuty w jednym pokoju, by zaczęli się kłócić. Uśmiech-

nał się. Skarżył się na jej ostry język, ale podobały mu się te starcia. Elise to bystra, inteligentna osoba, która jest znakomitą agentką. Jej wiedza o finansach okazała się kluczowa dla tamtej sprawy w El Paso.

Spowaźniał. Z jego punktu widzenia praca Elise była jednocześnie błogosławieństwem i przekleństwem. Przez nią się poznali i byli razem w Teksasie. Ale jednocześnie najbardziej mu przeszkadzała. Myśl, że kiedyś może Elise będzie musiała wyjąć broń i wykorzystać swoje szkolenie, by bronić się przed facetem w rodzaju Valentego, sprawiała, że robiło mu się niedobrze. Go się stanie, jeśli jego zabraknie wtedy w pobliżu?

Zaparkował przed sądem i kilka minut siedział w samochodzie, zastanawiając się, co robić. Żeby zapewnić Elise bezpieczeństwo, musiał rozwiązać sprawę, zamknąć przemytników i - jak dobrze pójdzie - usunąć z obiegu rodzinę Mercado, póki Elise siedziała w hotelu nad księgami.

Spojrzał na zegarek. A niech to! Sąd zaraz kończy pracę.

Wyjechał z parkingu. Jutro przyjdzie sprawdzić, do kogo należą magazyny. Na razie zamierzał wrócić do hotelu, wziąć Ehse w ramiona i kochać się z nią, aż oboje padną z wyczerpania.

Elise zerknęła na wyciągi i na kalkulator. Nie miała wątpliwości, że Mercado Trucking i Superior Produce są jakoś zamieszane w przemyt broni - albo transportują towar, albo piorą pieniądze. Albo jedno i drugie. Superior regularnie wysyłało owoce i warzywa do Mez-

cayi za pośrednictwem Mercado Trucking, ale i tak nie wykazywało dochodów. Listy przewozowe ciężarówek wymieniały banany, kawę i cukier. Dlaczego Superior wysyłało je do państwa, które żyło głównie z eksportu dokładnie tych samych produktów?

Ale jak miała udowodnić powiązania między firmami Mercadów a bronią przemycaną do Mezcayi? Musiała dowiedzieć się, co dokładnie znajduje się w ciężarówkach, a jedynym na to sposobem było znaleźć się na miejscu, gdy będą rozładowywane.

Sprawdziła daty w papierach firmy transportowej. Jeżeli się zgadzały, kolejny transport dotrze do Mezcayi w ten weekend.

Wzięła głęboki oddech i sięgnęła po telefon. Będzie musiała uzyskać zgodę na wyjazd, ale to nie powinno stanowić problemu. Szef powiedział, żeby robiła wszystko, co będzie konieczne, by znaleźć dowody.

Godzinę później z zadowolonym uśmiechem odłożyła słuchawkę. Pojutrze wylatuje do Mezcayi.

Kiedy już znajdzie się w malutkim południowoamerykańskim kraju, spotka tajnego agenta, który będzie jej przewodnikiem i tłumaczem. Zabierze ją do wiosek w dżungli, gdzie podobno silne były wpływy El Jefe. Tam Elise będzie udawać przedstawicielkę firmy eksportowej poszukującą ręcznie wyplatanych koszyków, ceramiki i innych wyrobów ludowych.

Nie kazano jej w Mezcayi podejmować żadnych działań, tylko mieć oczy i uszy otwarte oraz starać się odkryć, co naprawdę przewoziły ciężarówki. Będzie miała na to trzy dni. Potem będzie musiała wrócić do

Mission Creek i przekazać wszystko grupie specjalnej. To oni zajmą się śledzeniem podejrzanych, zbieraniem dowodów i, w odpowiedniej chwili, aresztowaniem.

Pozostały jej tylko trzy rzeczy do zrobienia: zadzwonić do banku, by odblokowali konta Ricky'ego Mercado, gdyż z wyciągów jasno wynikało, że nie ma nic wspólnego z przemytem. Potem zadzwonić do niego samego i powiedzieć, że został oczyszczony z podejrzeń.

Trzecie i najważniejsze zadanie nie będzie takie proste. Jak ma powiedzieć Cole'owi o swoim wyjeździe?

Podejrzewała, że jak tylko usłyszy o wyjeździe do Mezcayi, weźmie górę jego jaskiniowa natura i będzie próbował ją powstrzymać. Albo, co gorsza, postanowi pojechać z nią. Uwielbiała znajdować się w jego ramionach, kochać się z nim co noc, ale nie było jej potrzebne jego przymusowe towarzystwo w Ameryce Południowej.

Elise westchnęła. Zresztą musiała pobyć trochę sama, pogodzić się z myślą, że może już nosić jego dziecko.

Wstała i wyjęła z torebki kalendarzyk. Jej okres miał się zacząć w przyszłym tygodniu, za wcześniej więc na kupowanie testu ciążowego.

Jednak w głębi serca wiedziała, że test to tylko formalność. Niezależnie od tego, jak mało prawdopodobne było, by tamtej nocy zaszła w ciążę, czuła, że poczęła dziecko.

Położyła rękę na płaskim brzuchu. A jeśli to prawda? Jak ma powiedzieć o tym Cole'owi? Jak on się zachowa? Czy będzie nalegał na ślub?

Zagryzła dolną wargę, by powstrzymać jej drzenie.

Skąd ma wiedzieć, czy prosi ją o rękę z miłości, czy z poczucia obowiązku wobec dziecka?

Wezmą ślub czy sama będzie wychowywać ich córkę lub syna, nie ma rady, jej życie ulegnie zmianie. Nie ma mowy, żeby mogła podróżować i prowadzić takie sprawy jak ta.

- Co się stało, skarbie? - spytał Cole, stając obok niej. - Masz okropnie poważną minę.

Ależ ze mnie agentka, pomyślała z obrzydzeniem. Nawet nie zauważyła, kiedy wszedł do pokoju.

Objęła go za szyję. Na analizowanie i podjęcie decyzji będzie miała mnóstwo czasu w samolocie do Mezycayi. Na razie nie chciała myśleć o przyszłości.

- Nic się nie stało, jaskiniowcu - zapewniła, stając na palcach, by pocałować jego wargi. - Myślałam tylko, co powie pani Carter, jeśli znowu zamówimy kolację do pokoju.

- Pewnie nic - uśmiechnął się. - Będzie wniebowzięta, że nas wyswatała.

- No to co zamówimy dzisiaj? - spytała.

- Nieważne. Pani Carter i tak przyśle dwie porcje tego, co, jej zdaniem, powinniśmy zjeść.

- Fakt. Ciągłe zamawiam sałatki, a ona przysyła stek, smażonego kurczaka czy coś podobnego. Nie sądzę, żeby pani Carter czytała te wszystkie artykuły o cholesterolu, smażonych potrawach i rozsądnej diecie; - Elise zmarszczyła czoło. - Będę miała szczęście, jeśli nie przybędzie mi w Mission Creek dziesięć kilo.

Cole rzucił jej takie spojrzenie, że nogi się pod nią ugięły.

- Nie musisz martwić się o wagę. Będziesz cudowna niezależnie od tego, ile ważysz.

Teraz tak mówi, ale jeśli jestem w ciąży? Czy nadal będę mu się podobać? Ta myśl opuściła ją szybko, gdy Cole pocałował dołek za uchem.

- Jestem głodny - mruknął. Podniósł głowę i spojrział na nią. - Ale nie chodzi mi o jedzenie.

Wsunął ręce pod jej bluzkę i przytulił ją mocniej. Pocałował z taką czułością, że musiała się go chwycić, by nie upaść. Przesunął ręce do góry, nie wypuszczając jej bluzki.

- Podnieś ręce, skarbie.

Bez słowa protestu spełniła polecenie, a on zdjął jej koszulkę przez głowę. Przesunął rękami po jej ramionach, plecach i biodrach.

- Uwielbiam, kiedy nie masz stanika - uśmiechnął się, muskając boki jej piersi.

- Zawsze uważałam, że to narzędzia tortur - powiedziała drżącym głosem. - Zwłaszcza te z fiszbinami.

Przesunęła palcem po literach ATF pośrodku jego koszulki. Mięśnie pod materiałem naprężyły się.

- Uwielbiam cię w tych czarnych koszulkach.

- Mówiłem ci, że świetnie w nich wyglądam. - Odychał z trudem.

- Tym razem muszę się z tobą zgodzić, jaskiniowcu. Wyglądasz w nich rewelacyjnie.

Też ściągnęła mu koszulkę przez głowę. Gdy przyciągnął ją do nagiej piersi, zrobiło jej się ciepło. Ale kiedy pochylił się, by chwycić sutek wargami, ciepło zamieniło się w ogień.

Położyła dłonie na jego szerokiej piersi, delikatnie przesunęła nimi po sutkach, Nabrzmiały pod jej dotykiem i poczuła, jak zadrżał.

- Podoba ci się? - spytała.

- S-skarbie... - Wyprostował się i odchrząknął. - Nawet nie masz pojęcia...

Byli tak blisko, że czuła jego podniecenie.

- No, jakieś pojęcie chyba mam...

Przesunęła palcem po jego gładkiej piersi, płaskim brzuchu, do pępka, a potem wzdłuż wąskiej linii włosów znikającej pod paskiem dżinsów. Rozpięła pasek, potem guzik. W jego zmrużonych oczach widziała wyzwanie.

Jego brzuch napiął się, gdy musnęła palcami skórę. Przesunęła paznokciem po zamku błyskawicznym w dół i w górę. Zachęcona jego jękiem rozkoszy, powoli otworzyła zamek i uwolniła go.

- Przez ciebie dostanę zawału - powiedział ochryple.

Zachęcona namiętnością, której nie mógł ukryć, przesunęła palcem po gumce bokserek.

- Może powinnam przestać.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Wtedy na pewno padnę trupem. Nie chciałybyś mieć mnie na sumieniu, co?

- Nie, chyba nie. - Udawała, że się zastanawia. - Ale nie chcę też, żebyś miał problemy z sercem.

- Na tę chorobę jest bardzo proste lekarstwo.

- Naprawdę? - Dotknęła twardego wybrzuszenia w materiale. - Myślisz, że je mam?

- Skarbie, jesteś jedynym lekarstwem na to, co mnie dręczy. - Pokiwał głową. - Więc nie przestawaj.

Wzięła głęboki oddech i zsunęła dzinsy z bokserkami z jego bioder. Cole położył ręce na jej ramionach, by nie upaść. Na szczęście zdjął buty przed wejściem do pokoju. Pewnie dlatego nie słyszała, jak wchodził, domyśliła się, rzucając jego ubranie na swoje.

Odwróciła się z powrotem i straciła oddech na jego widok. Cole był wspaniały. Gdy zobaczyła jego pożądanie, poczuła się pełna kobiecej władzy.

- Jesteś naprawdę piękny - oświadczyła, patrząc mu w oczy.

Pokręcił głową, podchodząc do niej. Przesunął palcem po jej policzku i uśmiechnął się.

- Ja nie. Ty.

Zamknęła oczy. Próbowała temu zapobiec, ale kochała się po uszy w Cole'u Yardleyu. A jeśli miała być całkowicie szczerą, to kochała się w nim, odkąd ją pierwszy raz pocałował. Tylko była zbyt uparta, by to dostrzec.

Kiedy otworzyła oczy, patrzył na nią jakby była najpiękniejszą kobietą na świecie. Zdjęła szorty i majteczki, rzucając je na stos ubrań na podłodze.

Wyciągnął ramiona, a ona bez chwili wahania wsunęła się w jego objęcia. Nie była w stanie mu się oprzeć. Przesunęła dłońmi po jego ciele.

- Skarbie, jeśli będziesz tak robić... to może... nigdy nie będę mógł chodzić. - Mówił z trudem.

- Dopiero zaczęłam - odparła, całując jego pierś, i brzuch.

- Elise?

- Cii, kochanie - powiedziała, zanim obdarzyła go tą ostateczną pieszczotą.

Cole chwycił ją za ramiona i pociągnął do góry, by pocałować tak, że całkowicie opadła z sił. Pokój zawirował, a Cole wstał i zrozumiała, że wziął ją na ręce.

- Co ty robisz? - spytała bez tchu.

- Znowu cię ciągnę do swojej jaskini - oznajmił z uśmiechem, który nie pozostawiał jej najmniejszych wątpliwości co do jego planów.

Ułożył ją na łóżku i rozerwał foliowy pakiecik. Przyglądał się jej przez chwilę. Potem położył się przy niej, obrócił ją twarzą do siebie i ułożył jej nogę na swoich. Najwyraźniej wyczuł jej dezorientację.

- Chcę, kochając się z tobą, widzieć twoją twarz.

Poczuła przypływ miłości. Żadne z nich nie będzie dominować, oboje będą równi. Zamknęła oczy, rozkoszując się doznaniem.

- Elise? Popatrz na mnie - jego głos brzmiał szorstko. Wiedziała, że z trudem nad sobą panował. Zrobiła, o co prosił. - Chcę widzieć, jak twoje oczy błyszczą, skarbie. Wiedzieć dokładnie, kiedy nie będziesz już mogła się powstrzymać.

Powiedziałyby mu, że ona też tego pragnie, ale gdy zaczął się powoli poruszać, słowa okazały się zupełnie niepotrzebne.

Jej miłość do niego była nieogarniona, a namiętność rosła. Ponieważ Cole nie odrywał wzroku od jej oczu, widziała, że jego ogarnia to samo napięcie.

Gdy doznania zmieniły się w rozkoszny ból, walczy-

ła, by trwały jak najdłużej. Jednak Cole musiał wyczuć jej gotowość, bo przesunął dłoń w dół i pogładził ją delikatnie. Nagle spirala zaczęła się rozkręcać, a ona straciła kontrolę. Słyszała własny jęk, gdy fale rozkoszy zalewały ją raz za razem. Gdy jej ciało drżało, poczuła, jak ramiona Cole'a zaciskają się wokół niej, gdy znalazł własne spełnienie.

Ogarnęło ją słodkie rozleniwienie, gdy tuliła się do jego silnych ramion, powoli wracając do rzeczywistości. Przyznała, że kocha Cole'a sercem i duszą, a jeśli mogła czytać z jego oczu, on również żywił do niej uczucia.

Uznała, że właśnie dlatego nie powinno być między nimi żadnych tajemnic. Dwoje ludzi, którzy się kochali, nie powinno nic przed sobą ukrywać.

Próbowała stłumić ziewnięcie, tuląc się do niego. Odpocznie chwilę, a potem powie mu o wyjeździe do Mezcayi. Cole na pewno ją zrozumie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cole uśmiechnął się do kobiety spokojnie śpiącej w jego łóżku. Elise wyglądała tak słodko i bezbrinnie, że z największym trudem zmusił się do ubrania i wyjścia. Powinna odpocząć, a on musiał zabrać się do szukania informacji i rozwiązywania sprawy przemytu broni.

Kiedy dotarł do gmachu sądu, pomyślał o ich wspólnej nocy. Przez cały wieczór, aż do rana, raz za razem kochali się z największą namiętnością, jakiej zaznał w życiu. Byli tak zajęci sobą, że zapomnieli nawet o kolacji.

W pewnym momencie Elise wspomniała, że musi z nim o czymś porozmawiać, ale pocałował ją i zapomniała, co miała mu powiedzieć.

Uśmiechał się, parkując samochód i idąc do biura. Dzisiaj wieczorem będą mieli mnóstwo czasu na dyskusję o tym, co Elise miała mu do powiedzenia. Na razie miał robotę. Musiał dowiedzieć się, kto jest właścicielem magazynów na skraju miasta, zobaczyć się z sędzią i zdobyć nakaz przeszukania, a potem dokładnie obejrzeć wszystkie budynki.

Dwadzieścia minut później wyszedł z biura z zadowoloną miną. Wcale nie zdziwiła go wiadomość, że przed paru miesiącami magazyny zostały zakupione

przez Ricky'ego Mercado. Kilka tygodni po tym, jak wrócił z misji ratunkowej Phillipa Westina w Mezcayi.

Jednak gdy czekał na sędzię, coś nie dawało mu spokoju. Mercado miałby kupować magazyny na przechowywanie broni, skoro wiedział, że ATF i FBI obserwują każdy jego ruch? To nie miało sensu. Mercado nie był głupi. Musiał wiedzieć, że pierwsze, co zrobią, to przeszukają wszystkie należące do niego budynki, a zwłaszcza tak wielkie jak magazyny.

Nie, to zbyt proste, zbyt oczywiste. Jednak Cole był gotów założyć się o cokolwiek, że jeśli dostanie się do budynków, znajdzie w nich cały arsenał.

Zmarszczył brwi. To by znaczyło, że Mercado mówił prawdę i nie był zaangażowany w przemyt i że ktoś go wrabiał.

Ale jeśli Ricky Mercado nie stał za wszystkim, to kto? Cole'owi przyszło na myśl jedno nazwisko, a jego ręce zacisnęły się w pięści. John Valente.

Teraz musiał tylko znaleźć dowody i zamknąć drania.

Ricky Mercado dojeżdżał do Mission Creek, podśpiewując razem z radiem. Jego życie nie wyglądało w tej chwili ciekawie, ale wyjazd do Nuevo Laredo, po drugiej stronie meksykańskiej granicy, udał się. Ręcznie wykonane meksykańskie kafelki do jego nowej kuchni zostały zamówione i za parę tygodni będą gotowe. Poszło szybciej niż myślał i miał jeszcze czas zamontować nowe poręcze na ganku z tyłu domu.

Oczywiście, kiedy się do tego weźmie, szop mieszkający pod gankiem będzie wściekły. Ale trudno. Mógł

sobie syczeć i parskać, ile chciał. Będzie musiał się przyzwyczaić do dzielenia domu z człowiekiem.

Zbliżając się do magazynów, które kupił przed paroma miesiącami, dostrzegł przy bramie czarny samochód terenowy. Zwolnił. Za często widywał ten pojazd, żeby nie rozpoznać auta Cole'a Yardleya.

Dlaczego Yardley kręcił się koło tych ruder? Od lat niczego tu nie przechowywano, za parę tygodni miały być zburzone.

Chyba że agenci odkryli coś, o czym Ricky nie wiedział.

Ricky postanowił zaczekać, aż Yardley odjedzie i udał się do domu. Potem wróci i sprawdzi, co go tak zainteresowało w rozpadających się budynkach.

Cole zaklął, gdy zadzwoniła jego komórka. To musiał być ktoś z biura w Vegas. Tylko oni znali ten numer.

- Co?

- Jak słyszę, jesteś w tradycyjnie miłym nastroju - zabrzmiał głos Drew Monahana.

- Co się dzieje? - spytał Cole, rozglądając się po wielkim magazynie. Było tu ciemno, ale dostrzegał na drugim końcu stos drewnianych pudeł. Ruszył w tamtą stronę.

- Informator powiedział coś ciekawego, o czym powinieneś wiedzieć - poinformował go Monahan. Jego głos nagle zabrzmiał poważnie.

- Który? - spytał Cole, usiłując w myślach ustalić, które z ich źródeł jest najbardziej wiarygodne.

- Angel Sanchez.

Cole zamarł. Wiedział, że informacja od Angela będzie w stu procentach prawdziwa.

- I co miał do powiedzenia?

- Wydano rozkaz usunięcia kogoś, kto jest za blisko rozwiązania sprawy w Mission Creek - oznajmił Monahan.

To był cios. Musiało chodzić o niego albo o Elise. Byli najbliższymi sprawcy. O siebie się nie martwił. Przez te osiem lat w ATF wywinął się z gorszych tarapatów. Ale Elise też pracowała nad sprawą. Chociaż nie dzielili się informacjami o wynikach swoich śledztw, wiedział, że musiały być blisko znalezienia tych dowodów w dokumentach.

- Angel nie powiedział, kto wydał rozkaz?

Monahan westchnął.

- Właśnie o to chodzi. Sprawdziliśmy wszystkie kontakty stąd do Nowego Orleanu i dowiedzieliśmy się tylko tego, że polecenie przyszło z Mission Creek. Pracujemy nad tym, ale dochodzenie jeszcze trochę potrwa.

Cole odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- Dzięki, Monahan. Jestem ci winien przysługę.

- Niejedną - odparł Monahan. - Ale to na razie nieważne. Uważaj na siebie, Yardley.

- Jasne - Cole przerwał połączenie. Chciał zadzwonić do Elise, ale w tym momencie rozładowała się bateria.

Biegiem dotarł do samochodu. Musiał wrócić do hotelu i kazać Elise siedzieć w pokoju. Będzie tam bezpieczniejsza.

Jadąc przez miasto, zastanawiał się, ile powinien jej powiedzieć. Jeśli powie o zleceniu morderstwa i będzie nalegał, żeby siedziała w hotelu, pewnie powie mu, co

sobie może zrobić z taką radą. Albo, co gorsza, weźmie broń i pójdzie szukać tego, kto wydał rozkaz.

Na samą myśl krew ścięła mu się lodem w żyłach. Nie, nie mógł jej kazać, by we wszystkim zdała się na niego. To byłoby najgorsze.

Ale jeśli jej nie ostrzeże, a coś złego się stanie, nigdy sobie nie wybaczy.

Uznał, że czas wezwać posiłki i zaparkował przed biurem szeryfa. Powie Wainwrightowi o całej sytuacji i razem wymyślą jakiś plan.

Godzinę później Cole wyszedł z biura szeryfa dużo spokojniejszy o bezpieczeństwo Elise. Wainwright wysłał do hotelu pracownika. Jack Bennett był weteranem po piętnastu latach pracy w policji Houston, niedawno dołączył do ekipy w Mission Creek i miejscowi jeszcze go nie znali. Przyjmie posadęmajster-klepki, którego poszukiwała pani Carter i zamieszka w hotelu pod pretekstem kłopotów ze znalezieniem mieszkania w mieście. Cole wiedział, że nie jest to idealny plan, ale lepszy taki niż żaden.

Elise zagryzła wargę, usiłując wymyślić sposób powiedzenia Cole'owi o swej podróży do Mezcayi. Nie ważne, jak to ujmie, i tak mu się nie spodoba. Ciągłe powtarzał, jak to dobrze, że na co dzień siedzi za biurkiem i nie naraża się na kłopoty.

Pokręciła głową i westchnęła ciężko. Była pewna, że na wieść o wyjeździe zamieni się w jaskiniowca, będzie jej próbował tego zabronić i w końcu się pokłóca. A chociaż go kochała, nie zamierzała zaniedbywać swojej pracy tylko dlatego, że Cole jest nadopiekuńczy.

Ale może gdyby zaplanowała coś specjalnego na ten wieczór, znalazła idealny moment na wyznania, okazałby się bardziej wyrozumiały. Wiedziała, że ryzykuje, ale czas mijał, a ona nie potrafiła wymyślić nic lepszego.

Zadzwoiła do pani Carter, której romantyczna dusza zrozumiała wszystko. Pomogła Elise zaplanować taki wieczór, który - jak miała nadzieję - nie tylko byłby dla Cole'a przyjemny i relaksujący, ale też wprawiłby go z odpowiedni nastrój.

Kiedy półtorej godziny później Cole pojawił się w drzwiach łączących ich pokoje, przygotowały już z panią Carter altanę, a Elise przebrała się w zieloną sukienkę.

- Jaki miałeś dzień? - spytała, nagle tracąc pewność siebie. Wyglądał na zaniepokojonego. - Wszystko w porządku?

- Dzień jak co dzień - odparł, wzruszając ramionami. Wziął ją w ramiona i pocałował. - A jaki był twój, skarbie?

- Taki sobie. - Uśmiechnęła się. - Ale chciałabym ci coś pokazać w ogrodzie.

Poczuła nagłe napięcie jego ramion.

- Co takiego?

- To nic strasznego - zapewniła, odsuwając się. Czekwała, aż Cole zdejmie broń, jak to zawsze robił wieczorem w pokoju. Ale on tylko na nią patrzył.

- Co? - spytał, marszcząc czoło.

- Nie zdejmiesz broni?

Spojrzał na służbowy pistolet i pokręcił głową.

- Nie dzisiaj. Ja... No, może będę musiał iść coś sprawdzić.

Uśmiechnęła się.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - spytała, z góry znając odpowiedź.

- Nie.

- No to chodź ze mną - powiedziała, biorąc go za rękę.

Kiedy, wychodząc, zatrzymali się przy recepcji, pani Carter rozmawiała z mężczyzną, którego Elise nigdy dotąd nie widziała.

- Proszę, kochanie - powiedziała pani Carter, podając Elise klucz do drzwi prowadzących do ogrodu. Elise miała je zamknąć, kiedy znajdują się z Cole'em w środku, aby nikt im nie przeszkadzał. - A przy okazji przedstawiam Jacka Bennetta. Zajmie się drobnymi naprawami. Powiem, żeby z samego rana naprawił ten zamek między waszymi pokojami.

Elise uśmiechnęła się. Nie zamierzała wyjaśniać pani Carter, że nawet jeśli zamek zostanie naprawiony, niczego to już nie zmieni.

- Miło cię poznać, Jack.

- A jak już się do tego zabierzesz, mógłbyś sprawdzić łańcuch na moich drzwiach? - spytał Cole, podając mu rękę. - Chyba jest trochę za luźny. I łańcuch pani Campbell też.

- Dodam to do listy spraw - skinął głową Jack.

- Bawcie się dobrze - powiedziała pani Carter, uśmiechając się od ucha do ucha.

- O co jej chodziło? - spytał Cole, gdy się oddalili.

- Zobaczysz. - Elise zaczekała, aż Cole otworzy drzwi na zewnątrz, a potem zamknęła je na klucz za nimi.

- Hej, co ty robisz? - wydawał się zaniepokojony.

- Spokojnie, jaskiniowcu. Tylko się upewniam, że nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- Nie podoba mi się to zamykanie na klucz - oznajmił, rozglądając się po ogrodzie, jakby spodziewał się kogoś zobaczyć.

Ruszyła wąską ścieżką.

- Musiałeś mieć ciężki dzień.

- Dlaczego tak mówisz? - spytał, idąc za nią.

- Nigdy nie widziałam, żebyś był taki spięty. - Odwróciła się i obdarzyła go szybkim pocałunkiem. - Może spróbujesz się odprężyć?

Cole uśmiechnął się.

- Chyba będę musiał, skoro tak ładnie prosisz.

Słońce schowało się za hotelem i ogród był w cieniu. Elise uśmiechnęła się, wchodząc po schodkach do altanki. Świece zaproponowane przez panią Campbell przydadzą się idealnie.

- Co to? - spytał, zerkając na kosz piknikowy i świece na podłodze i poręczach altanki.

- Zapraszam pana na randkę, panie Yardley.

- Ale...

Położyła mu palec na wargach.

- Widać, że miałeś ciężki dzień i musisz się odprężyć.

Ale Cole musiał pozostać maksymalnie skupiony. Życie jego albo jej mogło od tego zależeć.

- Usiądź sobie na huśtawce, a ja pozapalam świece - powiedziała, zapalając długą zapałkę.

Cole usiadł na huśtawce. Nie widział innego wyjścia, jak tylko postępować wedle jej planu. Musi tylko bardzo uważać na otoczenie.

- -Dlaczego zadałaś sobie tyle trudu? - spytał, podziwając, jak jej spódnica faluje wokół kształtnych łydek.

Elise uśmiechnęła się.

- Pomyślałam, że to będzie miła odmiana.

Zapaliła świece i wzięła kosz, a on poczuł się jak drań. Całował ją. Kochał się z nią. Ale nie uwodził jej, nie zrobił nic, by okazać, jak szczególnie był dla niego ten wspólny czas.

- Chodź tu, skarbie - powiedział, obejmując ją w tali.

Ze śmiechem dała mu się posadzić na kolanach.

- Widzę, że znowu stajesz się jaskiniowcem.

- Jak coś ci dobrze idzie, rób to jak najczęściej.

- Wyszczrzył do niej zęby. - A ty ciągle powtarzasz, że jestem prawdziwym jaskiniowcem.

Objęła go.

- Nie będę się o to kłócić. Naprawdę świetnie ci to idzie.

Pocałował jej smukłą szyję.

- Wiesz, czasami bycie neandertalczykiem ma swoje zalety.

- Jakie?

Poczuł, jak zadrżała, gdy delikatnie ugryzł płatek jej ucha.

- Wolno mi zawlec kobietę do jaskini i robić z nią, co zechcę.

- Muszę przyznać, że to też robisz naprawdę dobrze - westchnęła cicho.

- Tylko z tobą, skarbie. - Odchylił się, by spojrzeć na nią. - Masz pojęcie, jaka jesteś niezwykła?

- Ja nie - odparła. - Ty jesteś niezwykły.

Cole pokręcił głową.

- Nie. Ja jestem tylko szczęściarzem, którego obdarzyłaś swoim pięknym uśmiechem. Jesteś najbardziej niezwykłą, namiętą kobietą jaką spotkałem i przysięgam, że twoje pocałunki są uzależniające.

Pocałował ją. Kiedy odwzajemniła pocałunek, jego ciało zareagowało gwałtownie. Był podniecony i pragnął jej bardziej, niż czegokolwiek w życiu. Żadna inna kobieta nie działała na niego tak, jak Elise. Wystarczyło, że się do niego uśmiechnęła, dotknęła jego dłoni, a jego hormony szalały.

Może znalazłby jakiś sposób, by walczyć z pożądaniem i zapanować nad swoim ciałem, gdyby spokojnie leżała w jego ramionach i tylko dawała się całować. Ale kiedy wyciągnęła jego koszulkę z dżinsów, by położyć mu dłoń na brzuchu, a potem na bijącym mocno sercu, zapomniał o wynajętych mordercach i niebezpieczeństwie, w którym oboje mogli się znajdować.

- Skarbie, jeśli nie przestaniesz, nie mogę odpowiadać za to, co się wydarzy - wychrypiął, przerywając pocałunek.

- To nie odpowiadaj. - Uśmiechnęła się.

Cole zamknął oczy, walcząc z pragnieniem wzięcia jej tutaj, zaraz. Ale ona najwyraźniej miała inne plany.

- Elise, co ty robisz? - zapytał, gdy rozpięła mu pasek. Pożądanie, które widział w jej szmaragdowych oczach, zdradziło mu dokładnie, o co jej chodzi. - Nie sądzę... żeby to był dobry pomysł.

Rozpięła mu rozporek.

- Masz rację, to nie jest dobry pomysł. To świetny pomysł.

Cole usiłował sobie przypomnieć, dlaczego jest temu przeciwny, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Dał sobie spokój. Kochanie się z Elise było dla niego tak naturalne, jak oddychanie.

Pocałował ją znowu. Wsuwając ręce pod jej spódnice, pogładził jej kolano, udo, dotknął majteczek. Wsunął palce do środka i pogładził ją delikatnie. Była gotowa, co sprawiło, że serce zabiło mu gwałtownie. Uniosła biodra, by mógł się pozbyć kawałka jedwabiu i koronki, a jej zaufanie sprawiło, że stracił resztki samokontroli.

Ale kiedy delikatnie pogładziła twarde wybrzuszenie w jego bokserkach, zamknął oczy i zacisnął mocno zęby.

- Skarbie, może będzie lepiej, jeśli od razu przestajesz.

- Dlaczego? - Była równie podniecona jak on.

Otworzył oczy i rzucił jej znaczące spojrzenie.

- Bo jeśli dalej mnie będziesz tak dotykać, nie wytrzymam trzech sekund. - Chwycił jej dłonie i podniósł do warg. - Daj mi chwileczkę.

Posadził ją obok siebie na huśtawce, wyciągnął z tylnej kieszeni portfel, a z niego prezerwatywę. Potem chwycił ją znów w ramiona i posadził okrakiem na swoich biodrach. Sukienka Elise opadła na nich jak jasnozielona chmura, gdy połączyli się ze sobą.

Cole miał wrażenie, że odnalazł swoją drugą połowę. Pojawiły się uczucia, których nie mógł jeszcze rozpoznać, nie był na to gotowy. Starał się nawet o nich nie myśleć. Rozkołysał huśtawkę. Ich ciała poruszały się

w rytm kołyszącej się huśtawki. Przytulił ją mocniej do siebie i poczuł, jak ogarniają fala rozkoszy. Znalazł się tam zaraz po niej.

Oddychając ciężko, zamknął oczy. Podjął duże ryzyko, kochając się tak z nią na dworze i gdyby coś się stało, nigdy by sobie tego nie wybaczył.

Pocałował Elise, wkładając w to wszystkie uczucia, których nie umiał wypowiedzieć, po czym pomógł jej wstać. Poprawiła ubranie, a on zdmuchnął świece.

- Zabierzmy to do mojej jaskini, skarbie - powiedział, biorąc kosz piknikowy i chwytając Elise za rękę. - Chcę cię teraz kochać powoli i z pewnością nie na huśtawce.

- Moim zdaniem huśtawka była bardzo inspirująca - powiedziała Elise z uśmiechem, który znowu podniósł mu ciśnienie.

Szybko pocałował jej miękkie wargi i pociągnął ją za sobą w stronę hotelu.

- Poczekaj, aż dotrzemy do pokoju. Znajdziemy nowe inspiracje.

Nie tylko chciał znaleźć się z nią w budynku, gdzie było bezpieczniej, ale chciał kochać się z nią na sposoby niemożliwe na huśtawce w altanie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ricky Mercado uznał, że będzie lepiej, jeśli jego samochód nie zostanie zauważony w okolicy magazynów tego samego dnia, w którym Yardley się tam kręcił. Zaparkował więc koło budynku Mercado Trucking Company. Benito Pascal, szef, przyzwyczał się, że Ricky tam parkuje, ile razy wyjeżdża z miasta. Oczywiście było to dawno temu, zanim oficjalnie opuścił rodzinę i zabrał się do prostowania swojego żałosnego życia. Ale Benito nic to nie będzie obchodzić. Jak wszyscy inni uzna po prostu, że Ricky naprawdę wcale nie oszczędził i pojechał załatwiać jakieś sprawy dla Valentego.

Ricky zaklął pod nosem. Co za bzdura!

Sięgnął do schowka po niewielką latarkę i wysiadł. Ruszył na parusetmetrowy spacer w stronę magazynów. Mijając stację benzynową - jedyną między Mission Creek a Laredo - uważał, by trzymać się w cieniu. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, że kręci się tu po ciemku, nawet jeśli zamierzał sprawdzić należące do niego budynki.

Odgłos jego kroków, gdy szedł po zwirowej drodze do pierwszego magazynu zakłócił nocną ciszę i wywołał przypływ niepokoju. Zignorował to.

Niełatwo było go przestraszyć. Miał za sobą pobyt j

w dżungli pełnej partyzantów, nocą, wśród roślinności tak gęstej, że wokół panowała kompletna ciemność i nie widział własnej ręki na pięć centymetrów od własnego nosa. Co się z nim teraz dzieło?

Dzisiaj coś mu nie pasowało. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że ktoś go obserwuje, odkąd zaparkował samochód.

Zmrużył oczy i rozejrzał się wokół. Nic nie widział, ale to nie znaczyło, że nikt się nie chowa w którymś z budynków lub za nimi.

Zatrzymał się przy wyrwanych drzwiach pierwszego budynku i rozświetlił latarką jego wnętrze. Przestraszył tym pancernika kopiającego pod stosem butwiejących desek. Jednak oprócz niego nic ciekawego nie zauważył.

Wciąż czując się, jakby ktoś go śledził, Ricky ruszył do drugiego magazynu, uważając na jakikolwiek ruch, na cienie kryjące się w ciemnościach. Gdy otworzył drzwi, by zajrzeć do środka, usłyszał głuchy stuk i jednocześnie poczuł oślepiający ból z tyłu głowy. Latarka wypadła mu z ręki i opadł na kolana, a potem na ziemię. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, nim ogarnęła go ciemność, był snop światła latarki, która wylądowała nieco dalej.

- Obudź się, ty przeklęty sukinsynu.

Ktoś uderzył Ricky'ego w twarz z obu stron. Ból eksplodował za zamkniętymi powiekami i pomógł mu oprzytomnieć.

- K-kim... do cholery... jesteś? - zapytał, wolno otwierając oczy.

Jego powieki ważyły tonę i z największym wysiłkiem powstrzymał się od powrotu w niebyt. Nastąpiła kolejna eksplozja bólu, gdy ten, kto usiłował go obudzić, znowu go uderzył.

- Powiedziałem, że masz się obudzić - rozległ się czyjś głos koło twarzy Ricky'ego. Nieświeży oddech mężczyzny sprawił, że zrobiło mu się niedobrze.

Otworzył oczy. Pokój zawirował. Kiedy wreszcie zdołał skupić wzrok na twarzy obcego, odkrył, że patrzy prosto w najzimniejsze oczy, jakie w życiu widział. Były to lodowato niebieskie, bezlitosne oczy mordercy.

- Nie możesz go po prostu załatwić i mieć to z głowy? - zapytał drugi głos gdzieś poza plecami Ricky'ego.

Wynajęci mordercy. Ale kto wyznaczył cenę za jego głowę? I dlaczego? Ricky próbował się odwrócić i zobaczyć, kto jest za nim, ale nie mógł się ruszyć. Wtedy zrozumiał, że drań trzyma mu ręce za plecami. Ricky czuł, że tamten jest niższy od niego i spróbował się uwolnić. Jednak mężczyzna był bardzo silny i starania Ricky'ego na nic się nie zdały.

Ricky spojrział znowu na zimnookiego i przyjrzał się przeciwnikowi. Był mniej więcej jego wzrostu i wagi, w dodatku w niezłej formie.

- Kto was wynajął? - spytał Ricky. Musiał zyskać trochę czasu, zdobyć przewagę. Jeśli jej nie zdobędzie, ; stanie się niebawem martwy.

Zimnooki pokręcił głową.

- Nie twój interes. - Zwinął rękę w pięść, która wylądowała mocno na szczęcie Ricky'ego. - Ale kazał nam

trochę uszkodzić tę twoją buźkę, zanim cię wykończymy. - Kolejny cios wylądował na nosie i ustach Ricky'ego.

Poczuł, jak coś spływa mu z nosa. W ustach poczuł słony smak własnej krwi.

- A powiedział dlaczego?

- Nieważne - odpowiedział Mały. - Zapłacił najwyższą cenę.

Ricky usiłował znaleźć sposób na wydostanie się z uścisku prześladowcy. Jeśli się nie uwolni, i to szybko, nie ma najmniejszych szans.

Przewidział następny cios i odwrócił głowę, tak że pięść musnęła tylko jego policzek. To jeszcze bardziej rozwścieczyło mordercę. Podeszedł bliżej i wbił mu łokieć w brzuch.

Ricky zgiął się i jego ciężar okazał się za duży dla trzymającego go mężczyzny. Kiedy opadł na czworaki, zimnooki kopnął go w bok.

Ricky zacisnął zęby z bólu i czekał. Kiedy morderca chciał go znowu kopnąć, dostał szansę, na którą czekał. Chwycił but napastnika i szarpnął. Mężczyzna padł obok niego na podłogę, a Ricky podniósł się na kolana, by przyłożyć mu pięścią w brzuch, po czym spróbował wstać, gdy tamten usiłował złapać oddech.

Wtedy drugi napastnik uderzył go czymś w tył głowy. Ricky zobaczył gwiazdy pod powiekami. Zdołał się odwrócić i przyłożyć niższemu bandycie w twarz, wpychając go na stos desek.

Zignorował ból w dłoni i rzucił się w stronę drzwi. Usłyszał syk kuli wystrzelonej z broni z tłumikiem, gdy

świsnęła mu koło ucha. Skulił się. Wypadł przez drzwi, półprzytomny. Musi być szybki, inaczej nie ujdzie z życiem. Biegł z wysiłkiem i odruchowo zwrócił się w stronę odległych świateł.

Miał tylko jedną szansę na milion, ale musiał dotrzeć do stacji benzynowej.

Elise ogarnęła złość. Zamierzała w nocy powiedzieć Cole'owi o wyjeździe do Mezcayi. Jednak on tak uparcie odrzucał wszystkie próby rozmowy o śledztwie, że w końcu dała spokój. Poprzedniej nocy także nie dał jej zbyt wielu okazji do rozmów.

Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak spędzili wieczór i większą część nocy.

Kiedy obudziła się rano, jego już nie było. Zostawił jej na poduszce kartkę, że za nią bardzo tęskni i wróci na obiad. Ale ona będzie wtedy na lotnisku w Corpus Christi.

Zerknęła na zegarek, westchnęła i otworzyła szufladę biurka. Nie dał jej numeru komórki, musiała więc zostawić mu liścik. Szybko zapisała informacje o wyjeździe i kiedy wróci. Włożyła list do koperty i zakleiła ją.

Gdzie to zostawić? zastanawiała się, rozglądając się po pokoju. Lepiej nie ryzykować, że Cole przeoczy list, złapała torbę i wyszła do holu. Zostawi go pani Carter. Elise nie miała najmniejszych wątpliwości, że właścicielka hotelu z całą pewnością wręczy Cole'owi list, jak tylko ten się pojawi.

- Pani Carter, czy mogłaby pani wyświadczyć mi ogromną przysługę? - zapytała, podchodząc do recepcji.

- Ależ oczywiście, kochanie. Czego ci trzeba?

Elise podała jej kopertę.

- Muszę wyjechać na parę dni. Jeśli to nie za duży kłopot, to czy mogłaby pani dać to agentowi Yardleyowi, kiedy wróci na obiad?

- Bardzo chętnie - odparła pani Carter, wsuwając kopertę do kieszeni. Elise nie miała wątpliwości, że będzie niecierpliwie czekać na przybycie Cole'a.

- Dziękuję, pani Carter.

- To żaden problem, kochanie. - Oczy pani Carter rozbłysły. - A swoją drogą, jak poszło wczoraj? Podobał mu się piknik w altance?

Elise tylko się uśmiechnęła i skinęła głową. Nie mogła powiedzieć pani Carter, jak bardzo Cole'owi się podobał wczorajszy piknik, nie wprawiając jej w osłupienie.

- Muszę pędzić, pani Carter. Będę wdzięczna, jeśli odda pani list Cole'owi... agentowi Yardleyowi.

Zadzwonił telefon. Pani Carter sięgnęła po słuchawkę, żegnając Elise machnięciem ręki.

- Nie martw się, kochanie, dam mu go, jak tylko stanie w drzwiach.

Kiedy Cole zaparkował przed hotelem, poczuł jakby ktoś dzielił go w głowę. Samochodu Elise nigdzie nie było widać.

Odetchnął głęboko, mówiąc sobie, że to jeszcze nie znaczy, iż coś jej się stało. Detektyw Bennett od Wainwrighta był w hotelu jako człowiek do wszystkiego i wiedział, że jeśli Elise z jakiegoś powodu wyjdzie, ma nie spuszczać jej z oka.

Jednak gdy Cole wszedł do hollu i zobaczył Bennetta za stołem w recepcji, poczuł, jak lodowata dłoń ściska mu serce.

- Gdzie u diabła jest Elise... agentka Campbell?
Bennet wyglądał na zdumionego.

- W swoim pokoju.

Cole pokręcił głową i ruszył do drzwi.

- Nie ma jej wozu.

Detektyw ruszył za nim.

- Niemożliwe. Stoję tutaj, odkąd pani Carter dowiedziała się, że jej córka w Houston zaczęła rodzić przed czasem. - Wszedł z Cole'em do windy. - Od rana nikt nie wszedł ani^s nie wyszedł.

- A zanim pani Carter się dowiedziała o porodzie?
- spytał Cole, wciskając guzik trzeciego piętra. - Wiedziałeś, żeby wtedy ktoś wychodził?

Bennett pokręcił głową.

- Byłem w holu, odkąd rano wyszedłeś. Tylko raz, kiedy... - zaklął gwałtownie. - Pani Carter kazała mi iść do ogrodu po świece, które ktoś zostawił w altance.

- Pokręcił głową. - Nie było mnie może z pięć minut.

Kiedy otworzyły się drzwi windy, Cole biegiem ruszył korytarzem. Modlił się, żeby Elise była w swoim albo jego pokoju. Szybko otworzył drzwi.

- Elise? - zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział.

Otworzył drzwi między pokojami. Od razu dostrzegł, że ten pokój też jest pusty. Zajrzał do szafy. Wszystkie jej ubrania wisały w schludnym rzędzie. Kalkulator wciąż leżał na biurku przy stosie wydruków.

- Gdzie, do diabła, ona jest? - spytał, nie spodziewając się właściwie odpowiedzi od Bennetta.

Wrócił na korytarz i wyjął z kieszeni paragon ze sklepu. Wyciągnął pióro z kieszeni koszuli Bennetta, który wciąż deptał mu po piętach.

- To moja komórka - powiedział, zapisując numer.
- Zostań tutaj i daj mi znać, jak tylko Elise wróci.

- A ty dokąd idziesz? - zapytał, biegnąc za nim.

- Przewrócę Mission Creek do góry nogami, aż ją znajdę - odpowiedział, otwierając drzwi na schody. Nie zamierzał czekać na tę powolną windę. Musiał znaleźć Elise, zanim zrobi to ktoś inny.

Dwadzieścia minut później Cole jechał główną ulicą Mission Creek, szalejąc z niepokoju. Myślał, że Elise mogła pojechać do banku po kolejne wydruki. Jednak dyrektor twierdził, że nie widział jej od paru dni. Potem sprawdził klub golfowy, w nadziei że może chciała popływać albo poćwiczyć. Ale na parkingu nikt nie widział samochodu w tym kolorze.

Gdzie ona, u diabła, mogła być?

Zatrzymał się w biurze szeryfa i powiedział Justynowi Wainwrightowi, że Elise zniknęła i poprosił o uznanie jej za zaginioną. Potem zadzwonił do Bennetta, żeby sprawdzić, czy wróciła. Nie wróciła.

Jadąc z powrotem przez miasto, zerknął na zegarek. Musiał szukać Elise, ale musiał także skończyć śledztwo w magazynach, zanim nakaz straci ważność.

Zaklął i ruszył na zachodni kraniec miasta. Sprawdzi budynki i zabierze się znowu do poszukiwania Elise.

Elise zeszła po schodkach z samolotu. Upał i wilgoć w powietrzu były nie do wytrzymania. Spojrzała na niewielką grupkę ludzi, którzy wyszli do samolotu, ale była zbyt podniecona, by coś zauważyć. Po raz pierwszy, odkąd zaczęła pracować w FBI, wykonywała zadanie pod przykrywką - zawsze o tym marzyła.

- *Senorita*

Podszedł do niej mężczyzna ubrany jak wieśniak. Był niski i żylasty, miał na sobie luźne, przybrudzone białe spodnie i niewiele czystszą koszulę. Szarmanckim gestem zdjął z głowy brudny biały kapelusz, odsłaniając potargane czarne włosy.

- Czy nie trzeba pomóc z torbą? - zapytał z silnym akcentem.

Elise uśmiechnęła się i pokręciła głową, dalej się rozglądając za współpracownikiem, który miał na nią czekać.

- Nie, dziękuję.

- A może *señorita* potrzebuje przewodnika? - spytał. - Jorge jest *excelente*. Tylko dwadzieścia amerykańskich dolarów, żeby zobaczyć czerwonego motyla.

- Nie.

- Czerwony motyl jest rzadki w Mezcayi.

- Dziękuję za propozycję, ale nie - powiedziała bardziej zdecydowanie.

- Lot czerwonego motyla jest *muy hermoso* - dodała. Zaczynał ją denerwować swoim natręctwem.

- Powiedziałam: nie.

Pochylił się w jej stronę i powiedział tak cicho, że nikt inny nie mógł usłyszeć:

- Słuchaj, Campbell, może byś tak zaczęła współpracować, co? - spytał bez śladu obcego akcentu. - Trzy razy ci podałem hasło.

Elise zamruwała powiekami. Tak się skupiła na szukaniu swojego kontaktu, że w ogóle go nie słuchała.

- Przepraszam.

Czuła się jak skończona idiotka. Ale kiedy chciała coś jeszcze dodać, mężczyzna lekko pokręcił głową, ostrzegając, by uważała, co mówi. Ale z niej tajna agentka.

- Nie, dziękuję, Jorge, nie interesują mnie czerwone motyle. Reprezentuję firmę importową i potrzebuję przewodnika po miejscowych wioskach. Wiesz może, gdzie mieszkańców interesowałaby sprzedaż koszyków i ceramiki?

- Si, *señorita* - odpowiedział, szczerząc zęby i znowu wpadając w ciężki akcent. - Jorge Cortez zna dużo takich wiosek.

Elise skinęła głową, zadowolona, że nie spaliła ich do końca.

- W takim razie zatrudniam cię jako przewodnika i tłumacza, Jorge.

Cortez uśmiechnął się i sięgnął po jej torbę.

- Proszę za mną, *señorita*. Jorge zabierze panią do Tierra del Loro, krainy papug.

Dwie godziny później Elise trzymała się z całych sił, gdy Jorge wjechał antycznym dżipem w kolejną dziurę na drodze w góry. Jechali głębiej w dżunglę, niż się spodziewała, i zaczynała się zastanawiać, w co się właściwie pakuje. Jednak gdy skręcili, Jorge zatrzymał się nagle na polanie pełnej chatek.

Wstrzymała oddech, czując przypływ adrenaliny. Pośrodku maleńkiej wioski stała ciężarówka, a dookoła niej mężczyźni. Obok wozu z logo Mercado Trucking walało się kilka kartonowych pudeł na owoce. A z przyczepy właśnie wyciągano ciężkie, drewniane skrzynie z bronią.

Tak się skupiła na tej scenie, że dopiero po chwili zauważyła długą lufę wycelowaną prosto w swój nos. Na drugim końcu karabinu znajdował się groźnie patrzący wieśniak. Nie wyglądał na zachwyconego spotkaniem.

Kiedy Cole mijał drugi magazyn, kierując się w stronę tego z łańcuchem i kłódką, natychmiast zauważył, że coś się zmieniło. Wczoraj drzwi były zamknięte, krzaki przed nimi nienaruszone. Dzisiaj były otwarte na oścież, a krzak zdeptany.

Wyjął latarkę i ostrożnie wszedł do budynku. Gdy się rozglądał, poczuł mrowienie na karku. Na klepisku z ubitej ziemi widział dwie rysy wiodące od drzwi do środka pomieszczenia, jakby kogoś tu ciągnięto po ziemi. Były też wyraźne ślady walki.

Szybko odpiął kaburę, gotów wyjąć broń w każdej chwili. Rozglądając się, zauważył coś kilka metrów dalej i wstrząsnął nim zimny dreszcz. Wyjął z kieszeni lateksową rękawiczkę i przykląkł. Dotknął ciemnej plamy, po czym poświecił latarką na lepką substancję na palcach rękawiczki.

Serce waliło mu tak mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi. To była krew!

Uważając, by nie zatrzeć śladów walki, Cole wyszedł na dwór. Ledwo mógł oddychać. Sięgnął po komórkę.

Czy płatny morderca porwał rano Elise z hotelu? Przywiózł ją tu do magazynów? A jeśli tak, to czy...

Cole nie był w stanie dokończyć tej myśli. Wystukał numer szeryfa.

- Wainwright, zadzwoń do laboratorium, niech przyślą wóz do magazynów po zachodniej stronie miasta - powiedział.

- Yardley, co się dzieje...?

- Możliwe, że mamy... - Cole przełknął z trudnością ślinę, zanim wypowiedział to słowo - ...morderstwo.

- Jest ciało? - spytał Wainwright. - Ściągać koronera?

- Nie... jeszcze nie jestem pewien - stwierdził Cole, usiłując zachować spokój. - Zaraz przeszukam teren.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cole spojrział w lustro nad umywalką w łazience, ledwo rozpoznając mężczyznę, którego w nim zobaczył. Potarł trzydniowy zarost pokrywający policzki. Oczy miał tak czerwone z niewyspania, że wyglądał jak po tygodniowym picciu, i tak podkrążone, jakby były podbite. Odetchnął głęboko, z trudem walcząc z chęcią przyłożenia pięścią twarzy w lustrze.

Nienawidził mężczyzny w lustrze. To jego wina, że i Elise zniknęła. Gdyby był bardziej opiekuńczy, bardziej czujny, nie zaginęłaby przed trzema dniami. Byłaby tutaj, w jego ramionach, gdzie jej miejsce. Poczł przy-
pływ uczuć tak silny, że ścisnęły mu gardło. Zamknął oczy i zacisnął zęby. Dlaczego nie powiedział Elise, co do niej czuje? Czemu był takim tchórzem?

Miał mnóstwo okazji, by powiedzieć, że ją kocha, że jest w jego życiu najważniejsza i że chce, by zawsze była przy nim. Ale odkładał to. Przekonał sam siebie że to za wcześnie, że tylko skomplikowałyby sprawy. Ale tak naprawdę tylko siebie okłamywał. Kochał Elise całym sercem i duszą i oddałby wszystko za jeszcze jeden dzień, godzinę, by ją przytulić i powiedzieć, jak bardzo ją pokochał.

Cole zmusił się, by otworzyć oczy i odetchnąć raz i drugi. Poszedł do sypialni, usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. Czy właśnie tak czuł się ojciec, kiedy stracił matkę? Przeszedł przez takie piekło?

Jeśli czuł to samo, co Cole w tej chwili, to nic dziwnego, że już nigdy się nie ożenił. Cole wiedział z całą pewnością, że żadna kobieta nie mogłaby zastąpić Elise w jego życiu, sercu, duszy. Reszta egzystencji bez niej będzie tylko piekłem na ziemi.

Kiedy zadzwonił telefon na nocnym stoliku, podskoczył, po czym patrzył na niego przez kilka długich sekund. Nie był pewien, czy chce wiedzieć, kto dzwoni i co ma do powiedzenia. Laboratorium ciągle badało DNA, by sprawdzić, czyją krew znaleziono w magazynie. Jeśli należała do Elise, Cole nie chciał usłyszeć słów potwierdzających, że nie ma już nadziei.

Telefon zadzwonił jeszcze dwa razy, zanim Cole zdobył się na odwagę.

- Co?

- Yardley? - odezwał się Justin Wainwright. - Masz straszny głos.

- Pewnie dlatego, że tak się czuję - odparł Cole.

- Czego chcesz, Wainwright?

- Mam wiadomość, która cię zainteresuje - oznajmił szeryf.

- Znalazłeś Elise? - spytał Cole bez przekonania, czy chce znać odpowiedź.

- Jeszcze nie - zapewnił szybko Wainwright. - Ale spokojnie, Yardley. Może się jeszcze znajdzie cała i zdrowa.

Cole w to nie wierzył i Wainwright też nie. Zlecenie zabójstwa kogoś, kto zbyt się zbliżył do rozwiązania sprawy przemytu broni i zniknięcie Elise - to nie mógł być przypadek.

Zamknął oczy, usiłując opanować ponure przeczucia.

- No to co masz do powiedzenia? - wykrztusił w końcu.

- Wstępny raport z laboratorium...

- Co mówi? - przerwał Cole. - Wyklucza, że krew w magazynie mogła być Elise?

- Nie.

W takim razie Cole'a nie obchodziło, co jeszcze jest w głupim raporcie.

- No to mnie nie interesuje.

- I tak ci powiem - uparł się Wainwright. - Ekipa znalazła więcej krwi parę metrów od miejsca, gdzie były ślady walki. Według wstępnych badań to inna krew.

- To znaczy tylko, że ktoś z kimś walczył - odparła Cole zmęczonym głosem. Tego by się spodziewał po Elise. Nauczono ją bronić się w każdej sytuacji.

- Jasne. To już wiemy, skoro były ślady walki - zgodził się Wainwright. - Ale odkryliśmy właśnie, że w magazynie ktoś wystrzelił z kalibru 9 milimetrów.

- Znaleźliście pocisk? - spytał Cole.

- Jeszcze nie.

- No to co znaleźliście?

- Łuskę wewnątrz magazynu i jeszcze parę na żywej drodze.

- Chyba ktoś próbował uciekać - podsumował Cole, bojąc się rozbudzać w sobie nadzieję. Jeśli Elise była

bezpieczna, to dlaczego nie było jej w hotelu, w jego ramionach i jego łóżku?

- Tak nam się wydaje - potwierdził szeryf.

- I tyle?

- Na razie tak. - Wainwright westchnął ciężko. - Yardley, wytrzymasz?

Nic nigdy już nie będzie dobrze. Nie bez Elise przy jego boku.

- Jakoś przeżyję - skłamał Cole.

Cole usiadł na huśtawce, oparł łokcie na kolanach i splótł dłonie. Nie miał pojęcia, dlaczego wyszedł do ogrodu. Po prostu nie miał dokąd iść. Wczoraj Wainwright zabronił mu pokazywać się na miejscu zbrodni po tym, jak doprowadził ekipę niemal do szału, powtarzając im, by nic nie przeoczyli i tłumacząc, czego mają szukać. Po telefonie od szeryfa z informacją, że znaleźli łuski z broni w magazynie i dookoła, Cole zaczął mieć wrażenie, że ściany się nad nim zamykają.

Rozglądając się po altance uznał, że popełnił jednak duży błąd. Było tu zbyt wiele wspomnień o jego ukochanej. Śladów kobiety, której może już nigdy nie zobaczyć.

Jego serce zacisnęło się boleśnie i musiał zamknąć oczy. Wzjął głęboki oddech, potem drugi. Jak on będzie żył bez niej?

- Cole, co ty tu robisz?

Dźwięk kobiecego głosu sprawił, że całe powietrze uszło mu z płuc. Otworzył oczy, ale nie mógł im uwierzyć. Jednak nie odważył się mrugnąć, bojąc się, że wizja idącej ku niemu Elise mogłaby zniknąć.

- E-Elise? - wykrztusił. Próbował wstać, ale kolana odmówiły mu posłuszeństwa.

Czy to była naprawdę ona, żywa? A może tak bardzo chciał ją zobaczyć, że w końcu oszalał?

- Kochanie, co się stało? - spytała, wbiegając na schodki altanki. - Jesteś okropnie błądy. Nic ci nie jest?

Cole chwycił ją za ramiona, posadził sobie na kolanach i objął mocno. Czuł dotyk jej miękkiego ciała, delikatną dłoń gładzącą go po karku i to go w końcu przekonało, że to nie sen. Zadrżał i wysłał do nieba milczącą modlitwę dziękczynną.

Odchylił się, by spojrzeć na jej piękną twarz. Tylko mały kawałek gazy przyklejony plastrem nad brwią i siniak na podbródku świadczyły o tym, przez co musiała przejść.

- Mój Boże, Elise, myślałem, że nie żyjesz - wyszeptał z trudem;

Położyła mu dłonie na policzkach i z uśmiechem pokręciła głową.

- Przykro mi, że się martwiłeś. Mało brakowało, ale na szczęście Jorge szybko działa. Ale skąd wiedziałeś?

- Jorge? Pomógł ci uciec? - spytał Cole, przyciskając wargi do bandaża na jej czole.

- To dzięki niemu wydostaliśmy się stamtąd - pokiwiała głową. - Okazało się, że kompletnie głupieję, kiedy ktoś mi podstawia lufę pod nos.-

Cole nie miał pojęcia, kim był Jorge, ale miał zamiar znaleźć go i osobiście podziękować za pomoc w ucieczce Elise.

- Tak mi przykro, skarbie. To wszystko moja wina.

- Niby dlaczego? - zdziwiła się. - Nie miałeś z tym nic wspólnego.

- Wiedziałem o wynajętych mordercach... ale nic nie powiedziałem - wyjaśnił. - Myślałem, że dzięki temu będziesz bezpieczna. Wybaczysz mi?

- Mordercach? Tu, w Mission Creek?

Skinął głową, a sens jej słów docierał do niego powoli.

- Nie porwali cię?

- Nie. - Zmarszczyła czoło. - Dlaczego tak myślałeś?

- Kiedy znalazłem krew w magazynie... - Cole urwał. - Jeżeli nie porwali cię mordercy, to gdzie ty się podziewała przez trzy dni?

- Byłam w Mezcayi. Pani Carter nie dała ci...

Cole nagle posadził ją obok siebie na huśtawce i zerwał się na równe nogi.

- Mówisz, że sama tam pojechałaś? Sama? W miejscu, gdzie o życiu decyduje ten, kto ma większy karabin i umie go używać?

- Tak, ale...

- A ja tu wariowałem na myśl, że coś ci się stało albo nie żyjesz?

- Nie wiedziałam, że...

- Masz pojęcie, co się mogło stać? Jak niebezpieczny jest w kraju, którym rządzą terroryści z El Jefe?

Elise patrzyła na Cole'a chodzącego tam i z powrotem. Nigdy nie widziała go tak wściekłego.

- Jeśli przestaniesz rzucać pytaniami i dasz mi wyjaśnić, to zaraz się dowiesz, co robiłam.

- Wyjaśnić? - wrzasnął. - Jak możesz wyjaśnić, że nie powiedziałaś mi, dokąd jedziesz?

Teraz Elise była wściekła.

- To bardzo proste - oznajmiła, z trudem zachowując spokój. - Wiedziałam, że ci odbije, jak teraz. Ale próbowałam ci powiedzieć.

- Kiedy? - Pokręcił głową. - Nie pamiętam, żebyś wspominała o wycieczce do Mission Creek, nie mówiąc o innych krajach.

- Próbowałam ci powiedzieć tutaj, w altance, ale miałeś co innego w głowie.

- Mogłaś mi powiedzieć później - oznajmił odrobinę spokojniej.

- Wyszedłeś, zanim się obudziłam - przypomniała mu.

- Ale nie pomyślałaś, jakie piekło będę przeżywał, nie wiedząc, gdzie jesteś i co się stało?

Wstała z huśtawki. Nie miał prawa jej tego wypominać, kiedy sam zataił informację o płatnym mordercy w Mission Creek.

- Ty mi nie powiedziałaś, że w mieście jest zawodowy morderca.

- To co innego - oświadczył z uporem.

- Naprawdę? Moim zdaniem nie, jaskiniowcu. Specjalnie zataiłeś to przede mną. Poza tym zostawiłam ci list wyjaśniający, gdzie jestem i po co wyjechałam.

- List? - Pokręcił głową. - Przeszukałem swój pokój i twój od góry do dołu, szukając jakichś wskazówek. Gdyby tam był, to bym go znalazł.

- To znaczy, że pani Carter nie dała ci listu? - spy-

tała Elise, zaczynając rozumieć, dlaczego Cole był taki wściekły. - Obiecała, że da ci go, jak tylko przyjdiesz na obiad.

- Pani Carter miała poważne kłopoty rodzinne, zanim dotarłem - powiedział, nagle zmęczony. Usiadł na huśtawce, - Cały weekend była w Houston.

Część złości Elise zniknęła.

- To wyjaśnia, dlaczego nie wiedziałeś, gdzie jestem. - Usiadła obok niego. - Ale nie usprawiedliwia zatajenia przede mną informacji o mordercy.

- Informator powiedział nam, że zlecono zabicie kogoś, kto jest za blisko rozwiązania sprawy przemytu - powiedział. Potarł twarz rękami i spojrzał jej w oczy. - Bałem się, że coś ci się może stać.

Kiedy przyglądała się jego twarzy, zrozumiała w końcu, dlaczego Cole wyglądał tak okropnie i był taki wściekły. Ale chciała, żeby sam to powiedział.

- Dlaczego, Cole? Dlaczego się bałeś, że to chodziło o mnie?

Zamknął oczy na kilka długich sekund. Kiedy je otworzył, straciła dech na widok emocji, jakie w nich dostrzegła.

- Bo cię kocham, Elise. Chyba cię kochałem od chwili, w której cię zobaczyłem dwa lata temu w El Paso. Tylko byłem zbyt uparty i arogancki, żeby to zrozumieć, póki nie zacząłem myśleć, że cię straciłem.

- Och, kochanie, ja też cię kocham. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Mówiłam sobie, że takiego jaskiniowca nie mogę nawet tolerować. Ale tak naprawdę to zakochałam się w tobie także w El Paso.

Jęknął i chwycił ją w ramiona. Siedzieli tak kilka minut, szczęśliwi.

- Chcesz posłuchać o mojej wycieczce do Mezcayi?
- zapytała. Nie była pewna, jak zareaguje, ale uważała, że nie powinno być między nimi więcej tajemnic. Ani osobistych, ani zawodowych.

Czuła, jak napięły się jego mięśnie.

- Tak, lepiej mi opowiedz wszystko o Jorge i lufie podsuniętej ci pod nos. - Pocałował ją w czubek głowy.

- Będę musiał zdecydować, czy podziękować mu, że cię uratował, czy skopać tyłek, bo cię w coś takiego wpakował.

Elise wyjaśniła, że Jorge Cortez był jej kontaktem w Mezcayi i opowiedziała o wyprawie do Tierra del Loro.

- To nie jest miasto, raczej teren, na którym El Jefe rządzi paroma małymi wioskami.

- I ten idiota cię tam zabrał? - Cole zdecydował, że lepiej będzie się z nim nie spotykać. W przeciwnym razie mógłby Corteza uszkodzić.

- Jorge nie mógł wiedzieć, że w pierwszej wiosce będą akurat rozładowywać transport broni - powiedziała szybko.

Cole'owi krew się ścięła w żyłach na myśl o tym, co mogło się stać.

- I jak ten cały Jorge was wydostał? - spytał, niepewny, czy w ogóle chce wiedzieć.

Elise uśmiechnęła się.

- Powiedział im, że jestem misjonarką z innej wioski, na drugim końcu Tierra del Loro i że chciałam ich błagać o jedzenie dla sierot.

- I uwierzyli? - spytał Cole, dotykając palcem sińca na jej podbródku.

- No, z początku nie - przyznała. - Wyciągnęli nas z dżipa i pytali, skąd wiedzieliśmy, że w tej wiosce będzie żywność. - Pokręciła głową. - Ale Jorge wytłumaczył im, że jeździmy od wioski do wioski, błagając o cokolwiek dla głodnych dzieci. A potem oznajmił, że jest lojalny wobec jakiegoś Gonzaleza i El Jefe i nawymyślał na aktualny rząd. Wtedy pozwolili nam zabrać parę skrzynek warzyw i odprowadzili do drogi.

- Skoro to takie proste, to dlaczego masz siniaka na brodzie i opatrunek na czole? - Cole wstrzymał oddech, gdy się zawahała. Chyba nie spodoba mu się odpowiedź.

- Kiedy odjeżdżaliśmy, pokazał się Gonzalez.

Serce Cole'a zamarło. Gonzalez był krwiożerczym małym szczurem, który nieraz udowodnił, że nie ceni ludzkiego życia.

- I co się wtedy stało?

- Gonzalez zaczął wrzeszczeć na ludzi, którzy nas puścili i kazał nas zatrzymać. - Zadrżała w jego objęciach. - Wtedy Jorge wcisnął gaz i próbował im uciec.

- Próbował? - Cole przełknął z trudem.

Skinęła głową.

- Opona nam poszła na dziurze. No i musieliśmy porzucić samochód i iść pieszo przez dżunglę.

- Rany Boskie, Elise, gdybym o tym wiedział...

Położyła palec na jego ustach.

- Wszystko było dobrze, tylko potknęłam się o lianę i wpadłam na drzewo. - Uśmiechnęła się. - Jorge orientował się, gdzie jesteśmy i jak wrócić do cywilizacji.

Cole tulił ją i myślał, że mało brakowało, by faktycznie ją stracił.

- Skarbie, wiem, że dla ciebie to wszystko jest oczywiste, ale ciągle nie rozumiem. Co mają warzywa dla głodnych dzieci wspólnego z przemytem broni?

- Mało nie zapomniałam o najważniejszym - odchyliła się, by spojrzeć na niego. - Mam dość dowodów, by napuścić ekipę śledczą na Johna Valentego i dwie jego firmy.

Cole uśmiechnął się. Nic nie mogłoby ucieszyć go bardziej, niż widok Johna Valentego za kratkami i rodziny Mercado w rozsypce.

- Doszedłem, że to Valente, gdy stało się jasne, że ktoś wrabia Mercado. Co na niego masz?

- Carmine Mercado przed śmiercią przekazał władzę w organizacji Frankowi Del Brio. Wtedy Del Brio przejął kontrolę nad Mercado Trucking i Superior Produce. Potem on też umarł i do władzy doszedł Valente.

Cole uśmiechnął się wyrozumiale.

- To już wiem, skarbie. Ale jak to się ma do przemytu broni?

Jej oczy zaśniły.

- Superior Produce wysyłało owoce i warzywa do Mezcayi przez Mercado Trucking.

- Niech zgadnę - roześmiał się. - W ciężarówkach były nie tylko banany i kapusta.

Skinęła głową.

- Broń była schowana za paroma pudłami z owocami. Kiedy dotarliśmy z Jorge do wioski, ludzie z El Jefe akurat wyciągnęli z ciężarówki skrzynki z owocami

i zabrali się do karabinów maszynowych, ręcznych wyrzutni rakiet i amunicji w ilości wystarczającej, by wysadzić fortecę.

- I widziałas to wszystko? - spytał, zadowolony, że koniec tej piekielnej sprawy jest już widoczny.

- Nie tylko ich widziałam, ale nawet porobiłam zdjęcia - oznajmiła z dumą.

- I myślisz, że coś znajdą na Valentego?

- Na pewno pranie pieniędzy, bo obaj z Mannie Ferrarem podawali zawyżoną sprzedaż produktów, które niby wysyłali do Mezcai - odpowiedziała zdecydowanie. - W ten sposób ukrywali pieniądze ze sprzedaży broni. Potem Mannie deklarował ogromne ilości zepsutego towaru, żeby je wyprać. - Uśmiechnęła się. - Nie wiem, co się stanie, kiedy wejdzie ekipa śledcza. Może znajdą dość, żeby zamknąć Valentego i jego ludzi na resztę życia.

- Wcale bym się nie zmartwił - roześmiał się Cole.

- Ja też nie - zgodziła się.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, obejmując się.

- Cholera! - powiedział nagle.

- Co się stało, kochanie?

- Chciałbym się mylić, ale ta krew w magazynie mogła być krwią Mercada. - Cole usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz go widział. — Nie pokazywał się, odkąd zniknął.

- Wolałabym, żebyś się mylił. - Wyglądała na zmartwioną. - Lubię Ricky'ego.

- Czyżby? - Uniósł brew.

Pokiwała głową.

- Był dla mnie taki miły, kiedy mu zamroziłam konto.
- Mam swoje zdanie na ten temat.
- Na temat moich metod śledztwa? - Zmarszczyła się.

Pogładził ją po aksamitnym policzku.

- Skarbie, jestem z ciebie naprawdę dumny. Jesteś świetną agentką i znakomicie sobie z nim poradziłaś.
- Uśmiechnął się. - Ale teraz będziemy pracować razem, nie oddzielnie.
- Myślałam, że zawsze pracujesz sam - stwierdziła.
- A już na pewno nie z kobietami.

- Elise, całe życie na ciebie czekałem. Kocham cię całym sercem i duszą. Proszę, nie odjeżdżaj nigdzie, nie mówiąc mi, gdzie będziesz i co masz tam robić. Jeśli coś ci się stanie, to ja tego nie przeżyję.

Elise spojrzała mu w oczy i przekonała się, że mówi prawdę. Cole naprawdę ją kochał, ale jednocześnie szanował i cenił jako koleżankę po fachu.

- Ja też cię kocham - oznajmiła, całując go. - I obiecuję, że nigdzie nie pojedę, nie zawiadamiając cię o tym osobiście, a nie listownie.

- Zgoda. - Pocałował wrażliwe zagłębienie za jej uchem. - Kochasz mnie, nawet kiedy zachowuję się jak jaskiniowiec?

Zadrzała z rozkoszy.

- Już nie uważam, że jesteś jaskiniowcem.
- Nie? - udawał, że zamierza przerzucić ją sobie przez ramię. - Nawet kiedy zabieram cię do jaskini, żeby osiąść twoje piękne ciało?

Roześmiała się.

- No, może czasami lubię, jak zamieniasz się w Cole'a Jaskiniowca.

Objął ją mocno i pocałował. Poczowała ból w głębi brzucha.

- Wyjdź za mnie, Elise.

- Co? - Nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała.

- Właśnie poprosiłem cię o rękę, skarbie - powiedział z poważną miną.

Nie była pewna, czy to dobry moment na wyznanie mu, że prawdopodobnie zaszła tamtej pierwszej nocy w ciążę. Jednak jeśli ich związek miał być udany, powinien być oparty na całkowitej szczerości. A planować powinni zacząć od razu jako rodzina.

- Cole... jest coś, o czym powinniśmy najpierw porozmawiać - zaczęła ostrożnie.

Pokręcił głową.

- O niczym nie będę z tobą rozmawiał, dopóki nie usłyszę „tak”. Powiem ci tylko, że zamierzam przenieść się z biura w Vegas bliżej do twojego w Wirginii.

- Ale...

- Jeśli nie powiesz „tak”, to damę słowo, że zamienię się zaraz w jaskiniowca - powiedział obiecująco.

- Nie zrobisz tego - rozejrzała się wokół.

- Przekonamy się? - Jego uśmiech nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

- No dobrze - powiedziała pośpiesznie. - Tak, wyjdę za ciebie. Ale muszę ci powiedzieć...

Nie zdążyła skończyć, bo pocałował ją tak czule, że łzy napłynęły jej do oczu.

- Elise, obiecuję, że będę cię chronić i opiekować się tobą do końca życia - powiedział. - A teraz powiedz, o czym mieliśmy porozmawiać?

Wzięła głęboki oddech i powiedziała szybko:

- Wydaje mi się, że mogę być w ciąży.

Zamarł i patrzył na nią prawie wieczność, zanim w końcu obdarzył ją uśmiechem, od którego się roz-
płynęła.

- Masz pojęcie, ile to dla mnie znaczy, jeśli nosisz moje dziecko? Skarbie, byłbym najszcześniejszym człowiekiem świata. - Objął ją mocniej, po czym natychmiast rozluźnił uścisk. Otworzył szeroko oczy. - Dobrze się czujesz? Nie zrobiłem ci chyba krzywdy?

Nie mogła się powstrzymać przed głośnym śmiechem.

- Cięża to nie choroba, Cole. - Zmrużyła oczy. - A jeśli jestem w ciąży, to będziesz jednym z tych mężczyzn, którzy przez dziewięć miesięcy nie odstępują kobiety na krok?

Uśmiechnął się bez cienia skruchy.

- Prawdopodobnie. - Ujął jej dłoń, wstał i przyciągnął ją do siebie. - Chodź, mamy parę pilnych spraw do załatwienia.

- A jakich?

Podtrzymał jej łokcie, kiedy schodzili ze schodków.

- Musimy iść do sądu i załatwić papiery, a potem do jubilera po obrączkę i...

- Po dwie obrączki - powiedziała, pozwalając się prowadzić ścieżką do hotelu.

Obdarzył ją szybkim pocałunkiem.

- Dobrze, dwie obrączki.

- Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że jesteś moim mężem - uśmiechnęła się do niego.

Pokręcił głową i chwycił ją na ręce.

- Nie będzie najmniejszych wątpliwości.

- Umiem chodzić - zapewniła, obejmując go. Przeniósł ją przez hol prosto do windy. - Myślałam, że mieliśmy iść do sądu - zauważyła.

- Najpierw muszę zanieść moją ukochaną do mojej jaskini - oznajmił, wchodząc do windy.

Ze śmiechem ugryzła go w ucho.

- Kocham cię, Cole'u Jaskiniowcu.

- Też cię kocham, skarbie - powiedział, wychodząc na korytarz. - A kiedy dotrzemy do mojej jaskini, покаżę ci, jak bardzo.

EPILOG

Tydzień później.

Kiedy zadzwonił budzik, Elise szybko go wyłączyła, wyślizgnęła się z objęć swojego świeżo poślubionego męża i na palcach pobiegła do łazienki. Specjalnie wstała godzinę wcześniej od Cole'a, by skorzystać z testu ciążowego, który kupiła dzień wcześniej w aptece.

Postąpiła zgodnie z instrukcją i z napięciem czekała na wynik. Kiedy pojawił się dodatni odczyn, wyraźniejszy z każdą sekundą, jej serce podskoczyło, do góry.

— Jestem w ciąży - szepnęła. - Naprawdę będę miała dziecko.

Położyła rękę na płaskim brzuchu i zagryzła dolną wargę, żeby powstrzymać nerwowy chichot. Przez następne dziewięć miesięcy Cole da jej się nieźle we znaki. Będzie stał jej nad głową i doprowadzał ją do szału.

Elise uśmiechnęła się. Będzie cudownie.

Ale najpierw musiała mu powiedzieć, że zostanie tatusiem. I wiedziała, jak chce to zrobić.

Wyrzuciła test do kosza i wróciła do sypialni. Kiedy wślizgnęła się do łóżka, Cole objął ją i przytulił.

- Skarbie, dlaczego nastawiasz budzik na taką nie-

możliwą godzinę? - spytał zaspanym głosem. - Nigdy nie wstajesz tak wcześnie. Nic ci nie jest?

- Czuję się doskonale. - Przytuliła się i pocałowała jego nagie ramię. - Musiałam coś załatwić.

Podniósł głowę z poduszki i spojrzał na budzik, a potem na nią.

- O piątej rano?

Pokiwała głową, a potem przesunęła dłonie z jego ramion na szeroką pierś, brzuch i dalej.

- Chciałam, żeby mój mąż wyruszył rano do pracy z uśmiechem.

Wyszczrzył zęby i chwycił jej dłoń.

- Rób tak dalej, a na pewno będę się uśmiechał. Ale nigdzie nie pójdę.

- No, mamy godzinę: Chyba moglibyśmy... - dodała znacząco.

- Masz rację- odparł, opuszczając usta na jej wargi. -Moglibyśmy...

Pocałował ją czule i przez następną godzinę demonstrował jej najlepsze, jego zdaniem, sposoby spędzania czasu.

Elise, leżąc w ramionach męża, czuła się najszcześliwszą kobietą na świecie. Kochał ją wspaniały mężczyzna, dziecko było w drodze, a przed nimi rysowała się cudowna przyszłość.

- Cole?

- Co takiego?

- Mogę cię o coś spytać?

Kiedy otworzył oczy, wstrzymała oddech, widząc miłość lśniąca w ich orzechowej głębi.

- Skarbie, pamiętaj, żadnych więcej tajemnic. Możesz mnie zawsze pytać o wszystko i wszystko mi powiedzieć.

- No dobrze. - Objęła go za szyję i uśmiechnęła się.
- Co byś wolał, jaskiniowcu? Chłopczyka czy dziewczynkę?

- Właściwie to wszystko mi jedno - powiedział, odgarniając kosmyk włosów z jej policzka. - Jeśli okaże się, że jesteś w ciąży, będę szczęśliwy, dopóki ty i dziecko będziecie zdrowi.

- Ale co, jeśli już jestem w ciąży? - spytała, czekając, aż się zorientuje.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- A jak myślisz? Dlaczego zaraz po ślubie przestałem używać zabezpieczeń? Chcę mieć z tobą dziecko, skarbie.

Pocałowała go w ramię.

- Kochanie, czy słuchałeś, o co cię pytałam?

Zmarszczył brwi.

- Pytałaś, co by było gdybyś już była... w ciąży.
- Zrobił przerażoną minę. - Już? To znaczy, że jesteś? Kiedy prezerwatywa pękła...

- Tak, kochanie - roześmiała się. - Właśnie dlatego nastawiłam budzik. Zrobiłam sobie rano test. Na wiosnę będziesz tatusiem.

Usiadł i patrzył na nią z góry.

- Boże, Elise. Jak mogłaś pozwolić, żebyśmy się tak kochali. Nie byłem tak delikatny, jak należało.

Usiadła obok niego.

- Spokojnie, Cole. Nie byłeś brutalny.

- Wiem, ale też sienie hamowałem. A jeśli zrobiłem

krzywdę tobie albo dziecku? - Zbladł. - Jak się czujesz?
Na pewno nic ci nie jest?

Ze śmiechem pogładziła go po policzku.

- Jeśli nie doprowadzisz mnie do szału tą opiekuńczością, to będziesz słodki przez następne dziewięć miesięcy, jaskiniowcu.

- Elise, nie czas na żarty - pokręcił głową.

- Cole, przerabialiśmy to w zeszłym tygodniu - powiedziała cierpliwie. Wiedziała, że spora część jego niepokoju wynika z tego, że jego matka umarła z powodu krwotoku po poronieniu. - Nie jestem ani chora, ani krucha. Jestem w ciąży!

- Tak, ale co zrobimy, jak będziesz długo siedziała w pracy? - spytał zaniepokojony. - Musisz dużo odpoczywać.

Objęła go ramionami, kochając go bardziej, niż myślała, że to możliwe.

- To już załatwione. Postanowiłam poprosić w FBI o pracę, która nie wymaga wyjazdów. A jak dziecko się urodzi, wezmę urlop wychowawczy.

- Elise, nie chcę cię naciskać, ale nie mogę powiedzieć, żebym się zmartwił, jeśli nie będziesz już pracować w terenie - powiedział z wyraźną ulgą. Przytulił ją mocno i pocałował w czubek głowy. - Jak długi urlop chcesz wziąć?

- Nie wiem. - Przycisnęła wargi do jego piersi. - Zależy, jak się będę czuła, kiedy dziecko się urodzi. Może wcale nie wrócę.

- To musi być twoja decyzja, Elise. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa i zrobię, co się da, żeby nie wpływać na

twój wybór. - Położył ją i pochylił się nad nią. - Ale chcę, żebyś wiedziała, iż wcale mi nie będzie przeszkadzało, jeśli zostaniesz w domu, będziesz zamiatać jaskinię i wychowywać gromadkę małych jaskiniowców. A swoją drogą, to o ilu małych jaskiniowcach mówimy?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Chciałabym mieć co najmniej czwórkę.

- Dobrze - powiedział powoli. - Jak tylko załatwię przeniesienie i urządzę się w biurze w Wirginii, pójdziemy na zakupy.

- Jakie zakupy? - zdziwiła się. Nie miała pojęcia, o co mu chodzi, chyba że mówił o mebelkach dla dziecka.

- Skarbie, jeśli będziemy mieć tylu małych jaskiniowców, to potrzebna będzie raczej spora jaskinia - rzekł i wyszczerzył zęby. - Najlepiej z ogrodem, altanką i huśtawką.

Odwzajemniła uśmiech,

- To by mi się podobało.

Spoważniał.

- Skarbie, kocham cię bardziej, niż myślisz.

Szcześliwsza niż kiedykolwiek w swoim dwudziestostoletnim życiu, całowała go, aż oboje musieli zaczerpnąć powietrza.

- A ja kocham ciebie, jaskiniowcu.